



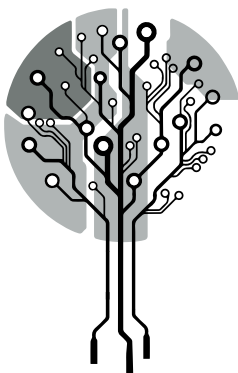
Fantazmaty

OZAZ FANTAZMATY JUNE 1.0

ANTOLOGIA MIKROPOWIADAŃ

NANO**FANTAZJE**

———— 1.0 ————



NANOFANTAZJE

1.0

Kraków 2018

Redaktor prowadzący: Dawid Wiktorski

Redakcja: Magda Brumirska-Zielińska, Sylwester Gdela, Karolina Grzeszczak, Alicja Kiełczewska, Magdalena Liebner, Damian Szandeki, Magdalena Świerczek-Gryboś,, Dawid Wiktorski

Korekta: Aleksandra Buczyńska, Kinga Grodzka, Karolina Grzeszczak, Kaja Pudełko, Michał Rymaszewski, Ilona Skrzypczak, Agata Tryka Magda Żurawska

Koordynacja weryfikacji: Mariusz Flejszar

Druga korekta: Karolina Grzeszczak, Ilona Skrzypczak, Dominika Świętkowska, Alicja Tempłowicz, Agata Tryka

Ilustracja na okładce: Przemek „Graphos” Świszcz, <http://facebook.com/graphosartist>

Projekt typograficzny: Kamila Dankowska

Skład i łamanie: Kamila Dankowska

Kontakt: kontakt@fantazmaty.pl

ISBN:

epub: 978-83-66058-13-2

mobi: 978-83-66058-15-6

PDF: 978-83-66058-14-9

Oprawa miękka: 978-83-66058-16-3



Ten utwór jest dostępny na licencji Creative Commons: Uznanie autorstwa **Użycie niekomercyjne** – Bez utworów zależnych 4.0 Międzynarodowe. Dozwolone kopiowanie i rozpowszechnianie utworu w dowolnym medium i formie.

Uznanie autorstwa – utwór należy odpowiednio oznaczyć, podać link do licencji i wskazać, jeśli zostały dokonane w nim zmiany. Możesz to zrobić w dowolny, rozsądny sposób, o ile nie sugeruje to udzielania przez licencjodawcę poparcia dla Ciebie lub sposobu, w jaki wykorzystujesz ten utwór.

Użycie niekomercyjne – nie należy wykorzystywać utworu do celów komercyjnych.

Bez utworów zależnych – remiksując, przetwarzając lub tworząc na podstawie utworu, nie wolno rozpowszechniać zmodyfikowanych treści.

PATRONI MEDIALNI:



SPIS TREŚCI

Przedmowa	11
Oddział dla opętanych	13
Krzysztof Rewiuk	
Chwył	25
Łukasz Krukowski	
Kosmiczny biznes	31
Adam Dura	
Starsza pani musi zniknąć	39
Wiktor Orłowski	
Księżę Łabędzi	51
Zbigniew Bierzyński	
Ćmy	57
Emilian Sornat	
Modlitwa do Archimedesza	65
Krzysztof Matkowski	
Komar i sito	73
Alicja Tempłowicz	
Muerte Blanca	79
Magdalena Świerczek-Gryboś	
Granica Roche'a	87
Anna Maria Wybraniec	

PRZEDMOWA

Z krótkimi opowiadaniem jest dziś spora zagwozdzka – dosłownie giną w tłumie. Nawet jeśli znajdą wydawcę, to najczęściej sąsiadują z tekstami dłuższymi. Ten problem zauważyliśmy w naszej pierwszej antologii. Postanowiliśmy zaradzić mu w najprostszy możliwy sposób: stworzyć nową serię, w której zbieralibyśmy najlepsze historie zamykające się na kilku stronach. W końcu dobra fantastyka to nie tylko trylogie.

Chociaż nabór na takie opowiadania ogłosiliśmy zaledwie kilka tygodni temu, to dosłownie zostaliśmy zalani propozycjami. Mogę zatem śmiało stwierdzić, że istniało zapotrzebowanie na tego typu projekt. Wybór dziesięciu tekstów, które przedstawimy jako pierwsze, nie był łatwy. Całą sprawę utrudniał też fakt, że postanowiliśmy zaprezentować Wam owoc naszej pracy jeszcze w tym roku – wbrew pozorom proces wydawniczy, nawet w przypadku tak krótkich tekstów, jest wyczerpujący i wymaga największego skupienia.

Po kilku tygodniach pracy nad niniejszą antologią stwierdzam, że ekipa Fantazmatów to ludzie, którzy nie pytają, czy coś da się zrobić. Pytają jedynie: na kiedy? W trakcie lektury pamiętajcie, że antologia nie powstałaby bez ciężkiej pracy zarówno autorów, jak i członków ekipy.

Dawid „Fenrir” Wiktorski

Projekt Fantazmaty tworzony jest także przez:

Redaktorzy: Amelia Borowiak, Magda Brumirska-Zielińska, Justyna Dąbrowska, Sylwester Gdela, Karolina Grzeszczak, Paulina Grzybowska, Magdalena Kozłowska, Magdalena Liebner, Aleksandra Miaskowska, Izabela Palińska, Michał Pięta, Zuzanna Pikul, Krzysztof Rewiuk, Izabela Ryżek, Łukasz Skoneczny, Damian Szandecki, Magdalena Świerczek-Gryboś, Alicja Tempłowicz, Agata Tryka

Korektorzy: Aleksandra Buczyńska, Justyna Dąbrowska, Kinga Grodzka, Karolina Grzeszczak, Milena Macul, Alicja Podkalicka, Kaja Pudełko, Michał Rymaszewski, Ilona Skrzypczak, Dominika Świątkowska, Alicja Tempłowicz, Agata Tryka, Matylda Zatorska, Magda Żurawska

Weryfikatorzy: Anita Brzozowiec, Agnieszka Chodkiewicz, Mariusz Flejszar, Eliza Gościniak, Paulina Grzybowska, Mateusz Kempa, Małgorzata Lisiecka, Damian Lupa, Marcin Majchrzak, Aleksandra Nowak, Magdalena Piniak, Anna Sikorska, Aleksandra Smoczyńska, Damian Szandecki, Magdalena Świerczek-Gryboś, Anna Twarowska, Ewa Wawrzykowska, Natalia Wilczyńska, Dagmara Zadrozna, Joanna Zajęc

Recenzenci: Agnieszka Chodkiewicz, Magdalena Czarnecka, Tymoteusz Czyż, Magdalena Drysiak, Anna Flaszka-Szydlik, Eliza Gościniak, Szymon Góraj, Ewa Iwaniec, Mateusz Kempa, Maria Kubiak, Anna Minge, Beata Mróz, Magdalena Piniak, Anna Sikorska, Patrycja Smaga, Damian Szandecki, Magdalena Świerczek-Gryboś, Dagmara Trembicka-Brzozowska, Anna Twarowska, Natalia Wilczyńska, Agata Włodarczyk

Graficy: Jacek Łukawski, Dorota Wieluńska

Strona: Artur Głowczyński, Sebastian Zarębski

ODDZIAŁ DLA OPĘTANYCH

Krzysztof Rewiuk

W znoszonym prochowcu z podbiciem koloru krwawnika pierwszego dnia po urlopie na długi korytarz Oddziału RE Szpitala w Nowej Kordobie wkroczył starszy asystent, doktor Miguel Olvido. Nieodwiedzane przez tydzień miejsce pracy powitało go ciszą i spokojem. A chwilę później szerokim uśmiechem Sancheza – pielęgniarza oddziałowego.

– *Ave, doctor!* Chata wolna!

– Cześć, Sanchez. Co cię tak cieszy od samego rana?

Nie dało się nie lubić tego małego grubasa. Facet nie tylko cudem utrzymywał w jako takim stanie rozsypujący się Oddział, ale był też jego jedynym pracownikiem, który nigdy, ale to naprawdę nigdy nie narzekał.

– Jesteśmy dzisiaj sami! – Uśmiechał się ciągle, jakby przekazywał najlepsze wiadomości.

– Jak to? – Olvido już przeczuwał trudny powrót do pracy.

– Stażyści pojechali na szkolenia, pan był na urlopie, doktor Ignacio dzielnie walczył, ale w piątek była grubsza awaria STOS-u i nie wytrzymał. Poszedł do starego i powiedział, że za takie pieniądze i w tych warunkach dłużej pracował nie będzie.

– I co, Torquemada się wkurzył?

– Wywalił go na zbity pysk. Ale dzisiaj pojechał do Centrum, żeby zebrać o fundusze na remont.

- A pacjenci? – Miguel nagle poczuł się zmęczony, jakby nigdy nie był na urlopie.

- Wyjątkowy spokój, musiał być dobry biomet. Jeden nowy. Jones.

Olvido odwiesił płaszcz na haczyk i zarzucił fartuch. Przydziałowy strój nigdy nie był dopasowany. Tym razem mógłby pomieścić w sobie cały obecny personel Oddziału.

- Zabiegi?

- Zerujemy dzisiaj Skoczka.

- Głęboko?

- Do samego dna, beznadziejna recydywa. Doktor Ignacio przygotował wszystkie papiery.

Jack Flash wyglądał dużo lepiej niż przed tygodniem. Jak na kogoś, kto skoczył z czwartego piętra, prezentował się nawet bardzo dobrze. Nanoroboty wykonały swoją pracę szybko i sprawnie.

- Witaj, inkwizytorze! – krzyknął z łóżka, podnosząc rękę, gdy tylko Olvido wszedł do jego sali.

- Widzę, panie Flash, że dopisuje panu humor...

- A czemu nie? Możecie się zesrać przy tej waszej maszynie, a ja najdalej za miesiąc zrobię to znowu! Jestem waszą porażką! – Próbował zaśmiać się upiornie, ale mu nie wyszło.

- Proszę mi wierzyć, nie traktujemy tego osobiście...

- Akurat! Założę się, że ci staje, jak kręcisz tymi pokrętłami!

Doktor Olvido skrzywił się z niesmakiem. Jack Flash przed przystąpieniem do programu był nobliwym profesorem etyki. Jednak powtarzane wielokrotnie na awaryjnym sprzęcie zabiegi potrafiły każdemu wypalić korę czołową.

- Panie Flash, nie docenia pan siły rutyny...

- Co ty, gówniarzu, wiesz o rutynie?! Nie było cię na świecie, kiedy wyłączałem tu pierwszy raz!

To akurat prawda.

Ściany gabinetu lekarskiego oblażyły z farby. Na początku eksperymentu nikt nie przypuszczał, że coś takiego jak Oddział RE będzie w ogóle potrzebne. Świnki morskie nie przejawiały tendencji samobójczych. Gdy zaczęły się kłopoty, szybko zaadaptowano sale dawnego Oddziału Geriatrycznego, który z kolei stał się całkowicie zbędny w Nowej Kordobie. Pomieszczenia były już zrujnowane, kiedy się tutaj wprowadzali.

Olvido przejrzał dokumentację Flasha. Komplet badań, kwalifikacja psychiatryczna, zaświadczenie od kapelana o ateizmie, anestezjolog... Oczywiście musiało czegoś brakować!

Połączył się z Sanchezem:

– Ściągnij mi tu na cito internistę. Brakuje konsultacji przed zabiegiem.

– Będzie problem, szefie. Robią dzisiaj lifting wieńcowy u jednego klienta.

– No to mamy obsuwę...

– Co najmniej dwie godziny! – Nic nie wskazywało na to, żeby Sanchez przejął się perspektywą zostania dłużej w pracy.

Olvido westchnął głęboko. Dziesięć, dziewięć... No, dobrze. I tak musi iść zbadać nowego.

– Dzień dobry, panie Jones. Nazywam się doktor Olvido. Jak się pan czuje?

– Dziękuję, na swój wiek naprawdę dobrze.

Miguel uśmiechnął się. Pierwszorazowi zwykle chcieli rozmawiać. To recydywa w większości wzgardliwie milczała, choć były wyjątki jak Jack Flash. Ale Christopher Jones patrzył w oczy doktora z prawdziwą ufnością. Olvido spróbował prosto z mostu:

– Czemu pan próbował się zabić?

– Nie domyśla się doktor?

– Nie płacą mi za myślenie, tylko za leczenie pacjentów.

- Dobrze powiedziane, doktorze. Wie pan, że ja też byłem kiedyś lekarzem? Geriatrą. I pracowałem na tym oddziale. Przed wszystkim...

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

- Nuda, doktorze. Znudziło mi się życie.

Rutynowa odpowiedź. Olvido liczył na coś więcej. Ale dobrze. On też mógł kontynuować tę rozmowę zgodnie z wypracowanym szablonem.

- Panie Jones, nie jest pan dzieckiem. Ja wiem, że czasem są gorsze dni, ale tu nie chodzi tylko o pana. Nie chodzi nawet o pieniądze. Decydując się na udział w programie, przyjął pan na siebie zobowiązanie. Zbyt wielu ludzi czeka z nadzieją na efekty badań. - Olvido popłynął trochę z improwizacją: - Chorych ludzi, umierających... A pan nie przestał być lekarzem.

Jones spojrzał na niego z litością.

- Doktorze, jest pan chyba bardzo zmęczony. Przecież sam pan w to nie wierzy.

Miał rację. Nikt już nie interesował się wynikami programu InMorta. Zresztą to od początku było do przewidzenia. Technologia wyciekła do komercyjnych firm w trzecim roku trwania projektu, a te natychmiast zaoferowały ją wszystkim gotowym zapłacić odpowiednie pieniądze, bez zbędnego oczekiwania na oficjalne wyniki długotrwałych obserwacji. Trudno się dziwić. Sto lat czekania na wdrożenie to znacznie ponad ludzką cierpliwość - nawet dla kogoś, kto nie leży jeszcze na łożu śmierci. A powszechne korzyści z programu od początku były utopią.

W efekcie to wolny rynek zweryfikował kwestię dostępności technik nieograniczonego wydłużania życia, a Nowa Kordoba została zapomnianym skansenem naukowego podejścia do problemu. Skansenem, którego stałymi mieszkańcami od sześćdziesięciu lat byli Jack Flash, Christopher Jones i ponad dziewięćset innych, ściśle wyselekcjonowanych ochotników. A także kilkaset osób personelu, przy pomocy połączonych technik manipulacji genetycznych, nanointerwencji i protezowania tkankowego skutecznie powstrzymujących zmiany w organizmach uczestników. W związku z ograniczeniem finansowania programu całość zaczynała przypominać portret Doriana Graya: pacjenci w ogóle się nie

starzeli, ale infrastruktura strefy z roku na rok wyglądała coraz gorzej. A Oddział RE był najbardziej wstydlwym pryszczem na obliczu kompleksu szpitalnego. Ale pryszczem, jak się teraz okazało, niezbędnym do utrzymania ochotniczego charakteru uczestnictwa podopiecznych.

Internista spóźnił się trzy godziny. Trochę pomarudził, ale podbił dokumentację Flasha. Olvido znosił kaprysy konsultanta ze stoickim spokojem. Pracownicy RE byli jedyną grupą lekarzy stojących w niepisanej hierarchii Nowej Kordoby niżej od internistów.

Nastało już południe, kiedy Miguel zasiadł za pulpitem STOS-u. Sanchez przywiózł Flasha na wózku inwalidzkim. Pacjent był wyraźnie podniecony. Leki przepisane przez psychiatrę jak zwykle działały opacznie.

– I rzekł Pan: „Nie może pozostawać duch mój w człowieku na zawsze”! – krzyczał.

– Panie Flash, niech pan przestanie opowiadać te herezje – uspokajał go Sanchez.

Wspólnie ułożyli wyrwającego się pacjenta na łóżku do zabiegów, przypięli pasami i podłączyli do aparatury.

– To wy jesteście opętani! Wy wszyscy, nie ja! – krzyczał Flash, zanim zaprogramowane pompy strzykawkowe nie zaczęły podawać leków uspokajających.

Idea zabiegu była prosta. Przed tym, jak pacjent zdecydował się na samobójstwo, musiał przecież kiedyś czerpać radość z życia. Z pewnością było tak w momencie, w którym przystępował jako ochotnik do programu InMorta. Za pomocą STOS-u warstwa po warstwie czyszczono jego pamięć, aż osiągnięto takie pokłady, na jakich to nieśmiertelność była największym marzeniem. Złożone wykresy na ekranach monitorowały impulsacje z hipokampa, poziom dopaminy w mózgu, sekrecję endorfin, a prąd elektryczny robił swoje.

Flash był beznadziejnym przypadkiem, terapia trwała pięć godzin.

Po zabiegu na podłodze pozostała plama moczu. Gabriel Sanchez, człowiek wielu talentów, przyniósł wiadro z mopem z jednego z zamkniętych pomieszczeń i zabrał się za zmywanie. Etał salowej dawno zlikwidowano. Olvido pokiwał głową.

- Ignacio miał rację. To nie jest praca za te pieniądze.
- Sanchez oparł się o mopa. Wyglądał jak giermek z kopią.
- Ja tam nie narzekam. Czysta robota. Przynajmniej się nie kurzy.

Doktor Raphael Santos, przez podwładnych zwany Torquemadą, był drobnym, wąsatym mężczyzną przypominającym meksykańską mysz z kreskówki i podobnie do niej ruchliwym. Przemieszczał się szybciej, niż mówił, mówił szybciej, niż myślał. A myślał naprawdę bardzo szybko. W kłapie wełnianej marynarki nosił odznakę Mensy.

Żeby tutaj pracować, należało być albo geniuszem, albo idiotą. Olvido nie miał wątpliwości, do której kategorii się zalicza. Zagadką pozostawał tylko Sanchez.

- Miguel, dobrze, że jesteś! Ten dureń Ignacio złożył wymówienie!

- Torquemada poderwał się z za biurka, dopadł do swojego asystenta, obiegnął go dookoła, klepiąc przy tym po plecach i popychając w kierunku fotela dla petentów, wrócił do biurka od drugiej strony i przysiadł za nim na chwilę. Olvido poczekał na moment, w którym mógł skupić wzrok na ordynatorze.

- Jak tam sprawy w Centrum, szefie? - zapytał.
- Przyznali fundusze na bieżące serwisowanie STOS-u. - Torquemada był już przy oknie i wychylał się przez parapet.
- A na zatrudnienie personelu, remont?
- Zapomnij! - zachnął się Santos.
- Dlaczego, szefie, przecież to już z górki. A przez kolejne czterdzieści lat ten budynek się całkiem rozsypie! - westchnął Olvido.
- Miguel, Miguelito, co ty opowiadasz, jakie czterdzieści lat, ten program nigdy się nie skończy! - Torquemada był teraz przy drzwiach

i przetrząsał kieszenie marynarki. – Nie masz ognia, nie? – dodał, nie czekając wcale na odpowiedź. Wszyscy wiedzieli, że Olvido nie pali.

– Projekt zakłada sto lat obserwacji... – Miguel przymknął powieki, żeby uniknąć oczopląsu.

– To już dawno nie jest projekt rządowy. A grube ryby, które wykupiły terapię na zewnątrz, chcą wiedzieć z wyprzedzeniem, co je może spotkać za dwieście, trzysta, pięćset lat... – Głos znowu dobiegał zza biurka.

– To niech dadzą na to kasę! – Olvido zaryzykował otwarcie oczu.

– Wiesz, czemu oni są grubymi rybami? Bo szanują każdego centa. – Torquemada zaciągnął się papierosem. – I jeżeli ten burdel jakoś funkcjonuje za milion doliczonych miesięcznie, to nie widzą powodu, aby dokładać kolejną stówę tylko dlatego, że nam tynk leci na głowę! Muszą oszczędzać na własne leczenie. A perspektywy mają naprawdę długie. – Papieros wylądował w popielniczce. – Aha, odebrali nam stażystów. Podobno zużywali za dużo jednorazowych rękawiczek.

Olvido nie był zaskoczony słowami szefa. Podejrzywał coś takiego od dawna. Wyniki badań na zwierzętach wskazywały, że życie uczestników można przedłużać bez ograniczeń. W momencie startu programu wydawało się, że po upływie wieku technologia będzie dobrodziejstwem dostępnym dla wszystkich i ich podopieczni będą mogli kontynuować leczenie poza programem. Okazało się jednak, że koszty terapii są tak ogromne, że poza Nową Kordobą została ona zakazanym owocem, dostępnym tylko dla najbogatszych.

Nikt przy tym nie przypuszczał, że po sześćdziesięciu latach obserwacji w ramach dobrowolnego projektu InMorta blisko dziesięć procent jego szczęśliwych uczestników będzie próbowało wypisać się z programu na własną rękę w jedyny możliwy sposób.

We wtorek przed południem Olvido ponownie zajął się Jonesem, żeby poinformować go o kwalifikacji do zabiegu. Formalnie zgoda pacjenta nie była wymagana. Leczenie na STOS-ie traktowano jako terapię w stanie bezpośredniego zagrożenia życia.

- Obiektywnie rzecz biorąc, tendencje autodestrukcyjne są uważane za przejaw poważnej choroby, panie Jones. Gdybyśmy przyrównali mózg do komputera, to myśli samobójcze są jak niezamierzony, krytyczny błąd w programie. Żeby panu pomóc, musimy sformatować część pamięci z tym błędem.

- Dużo tej pamięci mi skasujecie?

- Nie więcej, niż to będzie konieczne.

Jones podszedł do okna. Za kratami piętrzyły się szare budynki innych oddziałów.

- A jeśli jesteśmy tak naprawdę sumą wspomnień? Zabijacie nas w tej maszynie...

Olvido miał już dosyć podobnych rozważań.

- Przecież tego pan właśnie szukał: śmierci! - wypalił bez zastanowienia.

- Ale wygląda na to, że ceną za taką śmierć jest życie wieczne. Umieramy, by odrodzić się do wieczności... I tak bez końca...

- To chyba nie najgorszy interes?

- Ja rozumiem: sto pięćdziesiąt, dwieście lat... Ale nieskończoność?! Niech pan się chwilę zastanowi. Wyobraża pan to sobie? Jak można żyć na zawsze? Po co?

- Apetyt rośnie w miarę jedzenia.

- Nie! Ludzie nie są stworzeni do wieczności! Żadne żywe istoty nie są... To nie jest nasza perspektywa. Życie to sztafeta pokoleń. Jak u muszek owocówek. A nie stagnacja... Wie pan, dlaczego akurat nas wybrano do eksperymentu?

- Ścisła selekcja, ochotników było wielu...

- Nie, doktorze. Rząd chciał zgromadzić tutaj ekipę fachowców ze wszystkich dziedzin i przy okazji programu stworzyć zespół nieśmiertelnych geniuszy, którzy będą dla niego pracować. I co? Od ćwierć wieku

nikt z nas nie wymyślił nic nowego. My już nawet nie rozumiemy współczesnej techniki!

Olvido spojrzął na książkę leżącą na nocnym stoliku obok łóżka. „Czarodziejska góra”. Uśmiechnął się.

– Są inne rzeczy. Nawet wieczność nie wystarczy, żeby przeczytać wszystkie książki tego świata...

– Myślę, że po tysiącu lat nawet czytanie może się znudzić.

Zamilkli oboje. Po chwili Jones podniósł głowę i spojrzął Miguelowi w oczy.

– Doktorze, wyjeżdżał pan ostatnio poza strefę?

– Byłem na tygodniowym urlopie.

– Miał pan okazję spojrzeć w nocy na czyste niebo?

– Nie. Nie narzekam na kłopoty ze snem.

– Niech pan kiedyś spróbuje popatrzeć na gwiazdy. I niech pan potem przyzna uczciwie, czy ten widok pana nie przeraża.

Nastał poranek, dzień trzeci. Po śniadaniu Jack Flash opuścił Oddział. Przenosili go do budynku EDU. Miał tam w ekspresowym tempie uzupełnić luki w wykształceniu pozostałe po zabiegu na STOS-ie. Chwilowo prezentował stan umysłu typowy dla czterolatka.

– Wszystkiego dobrego na nowej drodze życia, panie Flash!

– Całujcie mnie w dupę!

Szybko się uczył.

Tym razem Olvido sam dopilnował dokumentacji. Zabieg mogli rozpocząć punktualnie. Ponieważ Jones był debiutantem, wszystko wskazywało na to, że skończą przed obiadem.

Pacjent zachowywał się spokojnie. Miła odmiana. Szybko podłączyli go do aparatury.

- Nie mogłem dzisiaj skalibrować sprzętu. Udało się dopiero za trzecim razem – wyznał Sanchez. – Kiedy będą pieniądze na jakiś remont?

- Kiedy wydarzy się jakaś tragedia – burknął Olvido.

Zabrali się do roboty. Jones okazał się jednak wyjątkowo oporny. Mijały minuty, a wykresy wskazywały na brak jakiegokolwiek poprawy.

- Twardziel!! – rzucił z uznaniem Sanchez. – Idę podkręcić do maszynowni.

Olvido został sam. Znużony śledził zapisy na monitorach. Nic się nie zmieniało. Nic. Wczoraj okłamał Jonesa. Przez tydzień urlopu ani razu nie zmrużył nocą oczu. Wyprostował się w fotelu, splatając ręce za karkiem. Nogi wyciągnął przed siebie. Końcem buta trącił obudowę STOS-u.

Cyk! Światło zgasło. Chwilę później wykresy na ekranach implodowały do rozmiarów pojedynczych pikseli. Krótki błysk, w którym Olvido zobaczył twarz leżącego na zabiegowym łóżku Jonesa. Przez chwilę wydawało mu się, że pacjent ma otwarte oczy. I znowu kilka sekund ciemności. Za ścianą zawarczał rezerwowy agregat. Kiedy monitory ponownie zajarzyły się światłem, pacjent leżał spokojnie. Wszystkie wykresy monitorujące jego stan pokazywały poziome linie. Prąd to prąd.

Z maszynowni wybiegł Sanchez.

- O kurde, znowu spięcie?

- No.

- I co, koniec z nim?

- Koniec. Całkowity.

Sanchez pokiwał głową.

- Co pan teraz zrobi, doktorze?

Olvido spojrzął mu w oczy.

- Wypełnię protokół zdarzenia niepożądanego.

Czasami tylko tyle mógł dla nich zrobić.

Fantasta z odzysku. Do pisania wrócił dzięki kryzysowi wieku średniego i portalowi NF. Znany w niektórych kręgach jako cobold. Publikował w „Świecie Młodych” (!), „Silmarisie” i „Nowej Fantastyce”. Poza pisaniem interesuje się malarstwem hiszpańskiego baroku i migotaniem przedścionków. Nie lubi śledzi.

CHWYT

Łukasz Krukowski

Bezsenne noce, takie jak ta, były moją codzienną przypadłością – uważałem je za coś oczywistego i koniecznego. Zapalałem lampkę, która zmieniała ciemność w przyjazny półmrok, i leżałem ze wzrokiem wbitym w sufit. Niekiedy zastanawiałem się nad najpoważniejszymi problemami egzystencji, innym razem zwyczajnie błędziłem myślami wokół mojego życia. Dawniej próbowałem uprawiać coś na kształt medytacji, ale umysł nie poddawał się łatwo i w końcu zrezygnowałem.

Która mogła być godzina? Nie patrzyłem na zegarek, wiedziałem jednak gdzieś z tyłu głowy, że najwcześniej pierwsza, a najpóźniej trzecia. Do pokoju przez otwarte okno dostawał się zimny wiatr, a oprócz niego odgłosy zwierząt – miauczenie kotów, cykanie świerszczy, szczekanie rozeźlonych psów.

Co muszę jutro zrobić? – zapytałem sam siebie.

Nie musiałem nic. Mogłem leżeć beczynn timerem całą noc i cały dzień, odpoczywając tak, jak tylko potrafiłem najlepiej.

Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, skąd wzięła się insomnia. Ze swojej przeszłości mało pamiętałem, wydawała się błaża, bezwartościowa. Nie wiedziałem także, dokąd zmierzam, to znaczy – już dawno straciłem jakikolwiek cel, który by mi przyświecał. Nawet gdybym miał wymienić te sensory posiadane wcześniej, te wszystkie rzeczy, dla których

rzekomo warto żyć, to nie wymieniałbym żadnej, bo o wszystkich zapomniałem.

Powietrze w pokoju zdawało się coraz chłodniejsze, musiałem przykryć się kocem. W momencie, gdy po niego sięgnąłem, narastający, przeraźliwie głośny dźwięk rozbrzmiał za oknem, a ja zamarłem.

Poczułem się, jakby zagrzmiała apokaliptyczna trąba. Przysłuchiwałem się tej osobliwości z przerażeniem i ściśniętym gardłem. Po kilku chwilach napięcia, nieruchomego oczekiwania, spostrzegłem ze zdziwieniem, że dźwięk oddala się i cichnie. Odetchnąłem z ulgą, gdy zamilkł zupełnie.

Cóż to mogło być?

Przed bramą stał rower.

Nie jeździłem na żadnym od dzieciństwa, ale nie sposób zapomnieć, jak to się robi. Postanowiłem jednak, choć mnie kusiło, nie wsiadać nań od razu, bo wydał mi się zbyt dziwny, to znaczy – kto i po co mógł go tu postawić? Czy to żart albo jakiś niespodziewany podarunek? Wygrana na loterii, mimo że w żadnej nie brałem udziału? Nic nie rozumiałem.

Nie znałem żadnych ludzi, którzy mogliby mi sprawić taki prezent. Czekałem więc wiele godzin, patrząc z okna, czy ktoś weźmie rower, ale nikt się nie zjawił. Kto zawędrował tu z tym wehikułem? Mieszkałem w olbrzymim, odosobnionym domu mojej matki, która umarła w nim przed wieloma laty z powodu ciężkiej, genetycznej choroby. Również na nią cierpiełem, jednak męczyła mnie tylko w wieku młodzieńczym; obecnie znajdowała się w remisji. Głównymi objawami były lęki, najczęściej zupełnie irracjonalne – nic, czym zajmowałby się zdrowy człowiek. Konająca matka zostawiła mi całą posiadłość i wiele pieniędzy.

Pamiętałem jedyne gościa, który kiedyś tu zawitał, oczywiście przez pomyłkę. Zaliczał się, razem z listonoszem i ludźmi ze sklepu, do nielicznych osób mających ze mną styczność w ostatnich kilku latach.

- Dzień dobry – powiedział, kłaniając się. – Czy pan jest tym znanym malarzem?

- Niestety nie – wydukałem zdziwiony jego pytaniem. – To znaczy, kiedyś malowałem, ale w żadnym wypadku nie jestem znany. Prawie nikt nie widział moich obrazów.

- Czy „Metafizyka Pustki” jest pańskiego autorstwa?
Zadrżałem.

- Nie. Nie namalowałem tego obrazu, zaszła pomyłka.

- Ale wie pan, jak on wygląda? – Mężczyzna, chudy, szkaradny, w znoszonych ubraniach, nie chciał mi odpuścić.

- Wiem – odparłem, by dał mi spokój, i chciałem odejść, ale on położył mi rękę na ramieniu.

- I co pan o nim sądzi? – zapytał natarczywie.

- Sądzę – zacząłem – że każdy powinien chwycić się czegoś mocno, i, proszę posłuchać, nigdy nie puszczać tego, czego się chwycił, bo ja się raz puściłem; nie było już powrotu. Rozumie pan? Nawet jeśli nie, to powinien pan przestać zadawać pytania i po prostu się chwycić. A starymi, bezwartościowymi obrazami proszę się nie zadreczać, sztuka i estetyka są zmienne, przemijają, tego typu obrazy niedługo będą nieszkodliwe i zupełnie pan o nich zapomni. Do widzenia.

Zatrzasnąłem za sobą drzwi i odkryłem, że jestem cały spocony. Marzyłem o ideale, nie znając jego ceny.

Potworny dźwięk znów rozległ się między pierwszą a trzecią w nocy. Tym razem jednak nie sparaliżowała mnie trwoga i chociaż nadal odczuwałem strach, przemogłem się, szybko podchodząc do okna.

Jeszcze za życia mojej matki ktoś wpadł na pomysł, żeby na tym pustkowi postawić latarnie – oświetlały teraz okolicę w promieniu wielu metrów. Odchyliłem delikatnie zasłonę i dostrzegłem w oddali ciemną, zbliżającą się sylwetkę. Właśnie ta sylwetka zdawała się stanowić źródło ogłuszającego ryku, który sprawiał, że ziemia drżała.

Po chwili zrozumiałem, że to rowerzysta. Gdy zacząłem się zastanawiać, jak to możliwe, że jeden cyklista powoduje taki huk, ujrzałem jego twarz w bladym świetle latarni. Zbliżył się do domu i nawet nie zwalnając, uniósł głowę, by spojrzeć mi prosto w oczy. Jego twarz wyrażała największy ból, a ogromne, czarne źrenice na tle poszarzałych białek były zupełnie puste. Czas zatrzymał się na moment, jakby chciał, bym zobaczył tego człowieka i by on zobaczył mnie – przyjrzelibyśmy się sobie przez tę chwilę, poczułem z nim wręcz namacalną więź; coś, czego nie doświadczyłem wcześniej względem nikogo.

Pojechał dalej, a huk zaczął się oddalać, słabnąć, jednak nadal pozostawał tak głośny, że trudno byłoby uznać go za zwykły efekt tarcia kół o asfalt. Dopiero po pewnym czasie otrząsnąłem się i odszedłem od okna.

Kim był rowerzysta? Albo Rowerzysta, jak zacząłem go nazywać w myślach. Mój umysł wypełniła pustka.

Cały dzień wyczekiwałem następnej nocy. Nie myliłem się – przerażliwy huk rozbrzmiał ponownie. Brakło mi jednak odwagi, by znów wyjrzeć przez okno, bo poczułem, że nie jest to właściwa rzecz i nie to powinienem teraz robić. Dźwięk wydawany przez Rowerzystę przeszywał do szpiku kości i uniemożliwiał jasne myślenie.

Uderzyła mnie pewność, że wszystko powiązane jest z rowerem, który *dostałem*, który został mi *pożyczony* albo na który *zapracowałem*. Nie wiedziałem, skąd się wziął, ale na pewno nie był to przypadek.

Czarny pędzel przesuwają się mechanicznie po czarnym płótnie. Pustka zjeje z obrazu, ale nie myślę o tym; *chwyt* jest bardzo mocny. Tworzę czterdziestą szóstą wersję tego samego dzieła – poprzednie czterdzieści pięć to kosztowne, bezsensowne pomyłki.

Co będę robił, gdy skończę?

Kolejne warstwy Pustki są przenoszone z mojego umysłu do tak zwanego świata; wiem jednak, że zaraz przestanę. Zerkam nerwowo na urnę z prochami matki, którą postawiłem w rogu pracowni. Czy moja

rodzicielka, widząc „Metafizykę...”, pojęłaby chociaż część treści, jakie poprzez obraz pragnąłem przekazać? Czy ktokolwiek na świecie, widząc „Metafizykę...”, byłby zdolny do pojęcia czegokolwiek?

Widzę, że to koniec. Obraz jest kompletny.

Puszczam pędzel i uciekam, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Przyjeżdża mecenas. Pokazuje mu dzieło, by sam je zapakował i zabrał.

Przyznam się do tego – minęło wiele dni, nim znalazłem w sobie odwagę i wypełniłem przeznaczenie. Mój hart ducha zupełnie zniknął w momencie, w którym porzuciłem dawną pracę artystyczną, i musiał upłynąć pewien czas, bym ponownie podjął jakąkolwiek inicjatywę. Pomijając jednak osobiste rozterki, problemy ze snem i podobne głupstwa, jednej z następnych nocy, chyba czwartej lub piątej, dźwięk stał się nie do wytrzymania. Czułem, jakby dysonanse uciekły z ostatniej głębi piekła, by doprowadzić mnie do szaleństwa.

– Zbyt wiele – powiedziałem cicho, zakładając płaszcz.

Dźwięk był w apogeum, kiedy wybiegłem na zewnątrz i niemal natychmiast znalazłem się za bramą. Wsiadałem na rower, gdy minął mnie On – nie odwrócił nawet głowy; przemknął obok, a odgłos tego przemknięcia prawie powalił mnie na ziemię.

– Proszę pana! – krzyknąłem, ale wiedziałem, że nie usłyszy przez barierę hałasu.

Musiałem go dogonić, co wydawało się niemożliwe, bo poruszał się szybciej od jakiegokolwiek samochodu. Coś jednak, nie wiem co, kazało mi wsiąść na wehikuł i zacząć gonić tego człowieka. Czynności te wykonywałem mechanicznie, jakbym jeździł rowerem codziennie, a przecież nie wsiadałem na niego od lat.

Najbardziej zdumiały mnie nogi. Wpadły w tak niespodziewany, szalony rytm, że przestraszyłem się, czy aby nie odpadną. Nie męczyłem się jednak i spostrzegłem, że utrzymuję tempo równe człowiekowi,

którego goniłem. Mimo to, mimo tego szalonego pościgu nie przyspieszałem, nie mogłem go więc dogonić.

– Trzymaj mocno kierownicę! – krzyknął tamten, obracając się przez ramię, a jego głos brzmiał jak głosy wszystkich podobnych ludzi. – Musisz się trzymać, pamiętasz? *Chwycić*, a później pewnie, mocno trzymać!

Podzielał mi na nerwy – czy to ten gość sprzed wielu lat, ten, który przez przypadek tu zawędrował? Czy to on ze mnie żartuje, ze mnie i z mojej teorii *chwytu*?

Minęliśmy zakręt, a mężczyzna się rozpląnął, już więcej go nie zobaczyłem. Nie mogłem jednak przestać jechać, ponieważ im mocniej zaciskałem ręce na kierownicy, tym bardziej wnikała ona *między moje palce*, tym bardziej *kleiła* się do nich i w pewnym momencie zrozumiałem, że ja już nigdy nie wrócę, że znalazłem się w innej przestrzeni, innym czasie. Przemierzałem ulicę, ciemną i ciasną; nie musiałem myśleć o nogach ani o dźwięku, który wywoływałem, bo *chwyciłem się* tak mocno, że niemal zmiażdżyłbym kierownicę, gdyby nie była tak lepka. Zostałem uratowany z mojego domu, jechałem i nawet jedna myśl w mojej głowie nie mówiła, by się puścić – odsunąłem od siebie podobne bluźnierstwa.

W pewnym momencie jednak – to nie ja wybrałem ten moment – uniosłem głowę. Natrafiłem wzrokiem na okno, a w nim na bladego, śmiertelnie wystraszonego człowieka. Czas jakby na chwilę się zatrzymał. Prymitywne było jego oblicze, prymitywne do tego stopnia, że przeraziłem się, jak bardzo mnie przypomina, i użyłem całej swojej woli, by odwrócić wzrok, który padł na coś jeszcze gorszego – rower stojący przed bramą.

Właśnie wtedy, przejeżdżając obok tego domu, zrozumiałem naturę rzeczy.

Łukasz Krukowski

Rocznik 2000. Swoje wesołe historyjki publikował w magazynach „Silmaris” (3/2018) i „Histeria” (nr XXIX). Jego ulubionym pisarzem jest Jacek Dukaj, a piłkarzem – Frank Lampard.


KOSMICZNY BIZNES

Adam Dura

Czujne oko Twórcy obserwowało narodziny nowego wszechświata. Czas i przestrzeń były dlań względne, przynajmniej w tym czterowymiarowym uniwersum. Wzrokiem ogarniał emergencję pierwszych fluktuacji w przestrzeni, kreował na raz dziesiątki idealnie rozmieszczonych galaktyk, ostrożnie rozpalając kolejne gwiazdy. To miało być arcydzieło... Korona stworzenia.

Nagle coś odciągnęło go od pracy. Twórca pozostawił swoje dzieło, jednak zapoczątkowane przez niego procesy nadal trwały. Kilka chwil później (a może całą wieczność później?) na niewielkiej, błękitnej planecie zaczęły dziać się rzeczy, które nigdy nie miały prawa się wydarzyć...

Reporterzy wypełniali salę konferencyjną szczelnie niczym sardynki puszkę. Tylko pole siłowe zapobiegało ich wtargnięciu na podium. Grawikamery wszystkich znaczących pangalaktycznych sieci informacyjnych krążyły ponad zebranymi, zapewniając jak najlepszy obraz widzom z tysięcy światów. Tak dużym zainteresowaniem nie cieszyły się nawet wystąpienia Prezydenta Federacji czy Autokratora Imperium.



Tłum szumiał jak rój pszczół. Do tej pory mediom pozostawały tylko plotki i domysły o tajemniczym „projekcie”, tego dnia zaś spekulacje miały zostać raz na zawsze ucięte. Drzwi na końcu pomieszczenia otwarły się, ukazując gwiazdę wydarzenia – profesor Blackwood dziarskim krokiem podszedł do podium. Jego wygląd sugerował nie więcej niż czterdzieści lat, choć w zeszłym roku obchodził swoje trzechsetne urodziny. Nienaturalna młodość nie mogła jednak dziwić w przypadku wynalazcy nanoterapii, komunikacji z prędkością nadświatłą czy nowoczesnej sieci bram hiperprzestrzennych... Czymże było dla niego osiągnięcie nieśmiertelności? Profesor lekko unióś dłoń, a zgromadzeni zamilkli w oczekiwaniu na przemówienie.

– Panie, panowie i kamery... – zaczął naukowiec.

Rozległy się niepewne śmiechy. Blackwood nie słynął z wysublimowanego poczucia humoru.

– Zmęczony nieustannymi nagabywaniami asystentów, delegacjami rządowymi i przeciążeniem sztucznej inteligencji mającej być moim rzecznikiem prasowym zdecydowałem się na zwołanie konferencji. Tak, pracuję nad nowym projektem i jest on prawie skończony. Wszystkich nurtuje pytanie, dlaczego jesteśmy sami we wszechświecie. Zbadaliśmy całą galaktykę, zapuściliśmy się do kilku sąsiednich, a nie znaleźliśmy nawet śladu inteligentnego życia. Czy jesteśmy jedyni? Czy jesteśmy boskim tworem? Obiecuję, że w ciągu najbliższych dni odpowiem na te pytania. – Za plecami profesora pojawił się hologram przedstawiający obcą planetę w całości pokrytą tajemniczymi strukturami. – Oto przedstawiam wam dzieło mojego życia: urządzenie, które pozwoli nam sięgnąć do innych wszechświatów, nawet tych, do których teoretycznie nie moglibyśmy dotrzeć. Jeżeli gdzieś jest życie, znajdę je. Jeżeli gdzieś jest nasz Stwórca, nie ukryje się przede mną. A jedno z was tutaj zebranych będzie mogło prowadzić transmisję prosto z centrum projektu...

W tym momencie sala dosłownie eksplodowała pytaniami szybko przeradzającymi się w krzyki. Profesor jak gdyby nigdy nic zaczął bezgłośnie poruszać ustami, odliczając przepychających się i rozplaszczających

o pole siłowe dziennikarzy, aby wybrać szczęśliwca, który jako jeden z pierwszych pozna największą tajemnicę wszechświata.

Blackwood przeglądał napływające z całej galaktyki informacje. Ruchawki w kilkuset światach, coraz bardziej histeryczne wystąpienia wszystkich przywódców religijnych, mobilizacja floty imperialnej prze-rwana dopiero przez otwarte pogroźki ze strony Federacji. Spodziewał się, że tak będzie. Cóż, jego największą wadą było to, że uwielbiał wkładać kij w mrowisko. Mógł próbować utrzymać projekt w tajemnicy do samego końca... ale jaka byłaby z tego zabawa? Gdy przeżyło się kilkaset lat, posiadało szereg planet i zostało okrzykniętym największym umy-słem w historii ludzkości, cóż jeszcze pozostało? Niezależnie od wyniku eksperymentu zyska prawdziwie nieśmiertelną sławę... I będzie mógł obserwować, jak jednostki, religie czy rządy usiłują poradzić sobie w no-wej rzeczywistości. Przypominało to trochę przyglądanie się mrówkom. Sprawiało, że czuł się prawie jak Bóg...

– Wszystko gotowe? – rzucił pytanie w przestrzeń.

– Tak jest, panie Blackwood – odpowiedział jeden z kilkadziesiątu wpatrujących się w ekrany techników. – Akceleratory gotowe do użycia, wskaźniki w normie. Możemy zacząć procedurę.

– Dobrze... A gdzie żywa kamera?

– Lot mu się opóźnił. Zdaje się, że próbowały go porwać konkuren-cja i wywiad Imperium. Ale już jest na powierzchni i za chwilę powinien tu być.

Gdy tylko technik skończył zdawać raport, drzwi rozsunęły się, a do sterowni wszedł nieco wymięty dziennikarz. Konferencja miała naprawdę brutalny koniec, o czym świadczyło jego podbite oko, powoli przyjmujące fioletową barwę. W trzęsących się dłoniach trzymał walizkę z kamerami.

– O, jest pan wreszcie. – Profesor lekko się uśmiechnął. – Jak po-dróż?

– Strze-strze-strzelali do nas! – wyjąkał po chwili przybyły.

– No, ale nie trafili. Za to mógł się pan poczuć jak korespondent wojenny. Reportaże straciły dla mnie urok, kiedy zaczęto wysyłać zdalnie

sterowane androidy... – Naukowiec westchnął z udawanym żalem. – Wróćmy do sedna. Jestem przekonany, że widzowie nie mogą już usiedzieć z emocji. Niech pan rozstawi kamery, uruchomi nadajnik i zaczynamy. Zapewne dostanie pan wszystkie nagrody, jakie tylko można dostać, i dożywotnie zaproszenia do każdego talk-show. To chyba mała cena za chwilę strachu?

Dziennikarz odburknął coś niezrozumiałego i wziął się do pracy.

– Dobrze. Zaczynamy. Proszę aktywować akceleratory na równiku – wydał polecenie Blackwood.

– Profesorze, jak właściwie zamierza pan skontaktować się z innymi wszechświatami? – Reporter zdołał przyjąć profesjonalny ton.

– W zasadzie jest to całkiem proste. Wszyscy teoretycy rozważali to od bardzo dawna, jednak nikt nie miał środków lub woli politycznej, by zrealizować taki projekt... Stworzymy kontrolowaną czarną dziurę.

Słuchający wyводу przedstawiciel mediów z trudem przełknął ślinę.

– A co... jeżeli nie uda się jej kontrolować? – zapytał niepewnie.

– Proszę być spokojnym... Jeżeli wszystko pójdzie bardzo źle, to przekonamy się, co jest po drugiej stronie. Tak czy siak, będzie to największe objawienie w historii całej ludzkości! – Blackwood uśmiechnął się szeroko.

– Mamy pełną moc. Uruchamiamy stabilizatory. Aktywacja drugiej fazy za trzy, dwa, jeden...

Sygnal dźwiękowy nadchodzącego połączenia był zdecydowanie zbyt irytujący. Po każdej rozmowie planował go zmienić, jednak zawsze pojawiał się coś ważniejszego. Tym razem dzwonek oderwał go od wyjątkowo obiecującej kompozycji.

Ta geometria, te barwy... Zarówno efekt ostateczny, jak i zapis samego procesu tworzenia z pewnością zapewnią mu podium w następnym konkursie. A potem wystawy, sława i pieniądze...

Aktywował komunikator, chcąc jak najszybciej skończyć rozmowę i móc wrócić do przerwanej pracy.

– Dzień dobry, czy rozmawiam z Aprotakiem Rapatim? – głos był irytująco uprzejmy.

– Tak, o co chodzi? – zapytał artysta, starając się samym tonem dać do zrozumienia, że jest bardzo zajęty.

– Z przykrością musimy poinformować, że pańskie zamówienie na ciemną materię będzie opóźnione. Mieliśmy drobny wypadek i...

– Jak to opóźnione?! Bez niej nie mogę pracować!

– Bardzo nam przykro, ale jak mówiłem, zbiornik się...

Nagle zawył alarm, całkowicie zagłuszając rozmówcę. Aprotak z wrażenia upuścił komunikator. Zapomniał wyłączyć akcelerator czasowy!

Pognał w stronę stanowiska kreacyjnego, prawie potykając się o własne macki. Czegoś takiego jeszcze nie widział. Miał już wielkie kolapsy, raz zgubił wymiar (choć wtedy i tak udało mu się dostać medal na wystawie wszechświatów abstrakcyjnych), ale teraz kosmos dosłownie wariował. Szybko podłączył się do stanowiska. To była całkowita katastrofa! Z jakiegoś powodu uniwersum próbowało połączyć się z otoczeniem, mimo że brakowało mu co najmniej czterech wymiarów.

I skąd wzięła się tam nowa czarna dziura?

Dalsze badanie sprawiło, że z nadmiaru emocji otworło mu się trzecie oko. W perfekcyjnie stworzonym modelu załęgło się życie?! Przecież nie dało się wykreować go w sztucznym uniwersum. Ale to był problem do rozwiązania później. Teraz musiał coś zrobić, zanim nagły pobór mocy ściągnie mu na głowę energetykę. Bez wahania wcisnął przycisk zrzutu do zbiornika.

Konsole rozblęły feerią świateł, jak bożonarodzeniowe choinki, a technicy w panice próbowali zmusić maszynę do współpracy. Reporter potrząsał Blackwoodem, próbując wyciągnąć z niego sensowne wyjaśnienia.

- Co się dzieje, do cholery?! Co się dzieje?!
- Panie profesorze, czarne dziury się powiększają! – Któryś z pracowników zdołał wyłowić sens z ze wskazań czujników.
- Miała być jedna! – wykrzyknął ze zgrozą dziennikarz.
- Nie nasza. Wszystkie inne. Coś zasysa wszechświat – odpowiedział w końcu naukowiec.
- Zasysa? – Ciekawość reportera przewyciężyła strach.
- Otóż widzi pan, z jakiegoś powodu wszystkie czarne dziury zaczęły gwałtownie się powiększać. Zapewne trafimy do... – Profesor nie zdążył dokończyć zdania przed tym, jak pochłonęła go nicość.

- ...i wszystko trafiło do zbiornika na zużytą materię – skończył swoją opowieść Aprotak. Jego rozmówca podrapał się po dolnych ustach, usiłując poukładać sobie całą historię w głowie.

- Znowu kupowałeś ciemną materię w jakimś podejrzanym sklepie? – zapytał. – Mówiłem ci, abyś nie oszczędzał na wszechświatach. Kilku w ten sposób implodowało razem z domami. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Pamiętasz mojego zbiornikowego kuzyna? Prowadzi fabrykę zabawek i mam chyba pomysł, jak możemy rozmnożyć te twoje odpady...

I ty możesz zostać bogiem! Nowy, rewolucyjny produkt na rynku miniaturowych wszechświatów. Nie bądź ograniczony tylko do nudnych pulsarów, galaktyk i kwazarów. Kreuj unikalne formy życia, obserwuj, jak reagują na twoje działania, i sprawdzaj nowe ścieżki ewolucji. Tylko dzięki naszemu produktowi możesz podziwiać starcia cywilizacji i gatunków, nieskończone bogactwo stworzonej przez nie sztuki lub sprawdzić, jak wytrzymały jest twój rodzaj i ile kosmicznych

katastrof przetrwa. Jeśli zamówisz zestaw w ciągu najbliższych pięciu cykli, otrzymasz w prezencie dodatkowy zbiornik ciemnej materii!

Adam Dura

Pochodzący gdzieś spod Łodzi, z miejsca, gdzie nawet autobusy zapuszczają się niechętnie. Rocznik 1995. Student toczący nierówną, acz zaciętą walkę z chemią. Fantastyką zainteresował się jeszcze zanim samemu nauczył się czytać, a od niedawna próbuje zamiast być tylko czytelnikiem stworzyć coś samemu. Przeczyta jednak wszystko, co wpadnie mu w ręce, nawet jeśli będzie to norma ISO. Nieuleczalny wielbiciel gier fabularnych i nałogowy śpioch.

STARSZA PANI MUSI ZNIKNĄĆ

Wiktor Orłowski

– Rozumiem – powiedział mężczyzna, nalewając koniaku do tulipanowych kieliszków, kiedy Renata skończyła mówić. – Starsza pani musi zniknąć.

Kobieta przyjęła szkło i wzięła duży łyk. Bardzo rzadko piła alkohol i nie znała się na wysokogatunkowych trunkach, więc czymkolwiek W. Faland ją poczęstował, nie umiała docenić smaku. Zresztą w jej obecnym stanie walory koniaku były ostatnim, co mogłoby ją zainteresować.

Wyglądała na jakieś trzydzieści pięć lat. Szczupła, zadbana, o jasnych włosach ściągniętych w wysoki kucyk, w szarej garsonce podkreślającej niezłą talię. Renata Krzyżanowska, starsza specjalistka do spraw finansów. Niebieskie oczy, ujmujący uśmiech, długie nogi.

I histeria.

– Przepraszam, czy mogę tu zapalić? – spytała.

– Proszę się nie krępować.

Dłonie lekko się jej trzęsły, gdy sięgała do torebki. Fajki rzuciła siedem lat temu, kiedy zaszła w pierwszą ciążę, ale ostatnio wróciła do nałogu. Wszystkiemu winne było jej małżeństwo.

Poniekąd.

Arka poznała jeszcze podczas studiów. Ona na finansach i rachunkowości, on na czwartym roku informatyki. Ktoś przedstawił ich sobie na domówce... i jakoś tak poszło. Kino, spacer, czekoladki, wspólne kolacje, które w pewnym momencie ewoluowały we wspólne śniadania. Renata zakochała się w nim bez pamięci.

Oświadczył jej się zaraz po skończeniu studiów, gdy tylko dostał pracę. Rok później wzięli ślub – skromny, bez szaleństw, z weselem tylko dla najbliższej rodziny i przyjaciół. Oszczędzali na mieszkanie. Rodzice sypnęli groszem na wkład własny, Arek dostał kredyt, a Renata pierwszą posadę w banku. W końcu wyprowadzili się na swoje – do uroczego, przytulnego gniazdka w cichym zakątku Ołtaszyna. Po dwóch latach pojawiła się Ola.

Nie popadli wtedy w panikę, nie byli, jak wiele młodych małżeństw, mocno zdziwieni tym, jak bardzo dziecko wpływa na podejście rodziców do życia, świata i siebie nawzajem. Coś się zmieniło, to prawda, ale Renata czuła się bezpieczna. Zastąpili spieniony szampan narzeczeństwa stonowanym, półsłodkim winem dojrzałej miłości. Nie miała żalu. W pewnym momencie po prostu przychodzi czas na zmianę priorytetów – człowiek woli spać zamiast rozwalać po nocach kolejną ramę łóżka, a flirty przy porannej kawie ustępują prozie życia złożonej z pampersów i rachunków.

Renata nie pamiętała już, kiedy ostatni raz Arek chwycił ją za włosy, wcisnął jej twarz w poduszki i warknął niskim głosem, że ją zerżnie. Pamiętała za to na wrywki dialogi z „Madagaskaru”, bo to był ulubiony film córki. Perypetie zwierząt z zoo znała lepiej niż życie dalszej rodziny.

Nie, problem nie leżał w tym, że ostatnio majtki przed mężem zdejmowała głównie z suszarki, gdy przeszło pranie. Tak po prostu się dzieje w życiu. Kochali się, Renata miała cudowne małżeństwo.

Sęk w tym, że Arek nie wszedł do jej życia sam.

Była jeszcze mamusia.

Jadwiga Krzyżanowska, stomatolog z bożej łaski, emerytowany skarb narodów, ostoją myśli, mądrości i wiedzy, a przy tym archetyp jeźdźcowatej teściowej żywcem wyjęty ze stereotypowych żartów. Renata

zaśmiewała się z nich do rozpuku, dopóki jeden z nich nie zaczął pakować się z pantoflami w jej życie.

Według mamusi zawsze było źle.

Cokolwiek zrobiła – źle. Królowa Jadwiga wiedziała lepiej. Wyrok obwieszczała cesarskim wyciągnięciem kciuka w dół. Od początku przeciwna małżeństwu swojego Arczka, na każdym kroku usiłowała zmienić życie Renaty w piekło. Odkąd pojawiła się Ola, a dwa lata później Janek, było tylko gorzej – blisko mieszkająca babcia wpadała z niezapowiedzianymi wizytami, przynosiła góry prezentów i zaciskała usta z dezaprobatą, ilekroć jej wzrok padł na synową.

Źle.

Przytyła po ciąży – źle. Za jakie grzechy Bóg pokarał jej Arczka taką krową?

Schudła, wysmuklała, wzięła się za siebie. Teraz miała już dobrze zorganizowany czas i pieniądze na basen, regularne wizyty u kosmetyczki, fryzjera. Wyglądała nawet lepiej niż przed ślubem, ale dla Jadwigi wciąż było źle. Źle układała włosy, chodziła do złego salonu na paznokcie, źle jej było w grafitowym.

Nie zgodziła się na kupienie Oli kota – bestia, wyrodna matka, ani trochę tym dzieciom nie popuści, aryjska esesmanka! Kot to przecież nie pies, mało brudzi, robi do kuwety, trzeba tylko karmić, a uczy dziecko odpowiedzialności!

Kupiła Oli tego przeklętego kota, niebieskiego persa o bursztynowych ślepiach – źle. Po pierwsze, brzydki, zostawia kłaki na jasnych sofach. Po drugie, co ona, powariowała? Nie wie, że futrzaki w domu roznoszą choroby, że dziecko może się nabawić alergii? Powinna trochę poczytać, zainteresować się!

Upiekła ciasto – źle. Kupiła w najdroższej cukierni w okolicy – źle. Renata znów zaczęła palić, ręce jej się trzęsły, ilekroć słyszała kroki nadchodzącej teściowej.

Źle. Nie tak. Źle robisz. ŹLE!

Pląkała, błagała Arka, by jej pomógł. Rozumiał, próbował rozmawiać z Jadwigą, ale co miał zrobić? To była jego matka. Postanowili

przeprowadzić się na drugi koniec miasta, ale wpadli z deszczu pod rynnę – mamusia nawiedzała ich równie często, tyle że teraz dodatkowo rozkazywała się odwozić. Co dalej? Uciekać? Arek był programistą, znalazłby pracę bez trudu, ona musiałaby się trochę naszukać. Daliby radę, ale co z życiem tutaj, z przyjaciółmi, dziećmi?

Wreszcie nie wytrzymała. Spakowała do torebki czyste majtki i szczoteczkę do zębów, wsiadła do samochodu i pojechała do Jolki. Po drodze kupiła dwa wina. Płakać zaczęła jeszcze w progu.

– Wypierdol starą w kosmos – poradziła przyjaciółka natychmiast, wysłuchawszy jej historii.

Następnie opowiedziała Renacie o swoim zniechęconym szefie, który zniknął.

– Irytował wszystkich w firmie, więc zrobiliśmy zrzutkę i wynajęliśmy fachowców – powiedziała. – Zasada jest prosta: jeśli chcesz odejść w cholerę i zacząć życie od zera, wynajmujesz odpowiednich ludzi... i znikasz. A jeżeli ktoś uprzykrza ci życie, płacisz i „znikają” jego. Proste.

– I twój szef...

– Nigdy więcej nie pojawił się w pracy.

– Z-zabili go? – jęknęła Renata.

– Nie. Po prostu zniknął. – Jolka zaczęła grzebać w torebce. –

Czekaj, dam ci numer.

Renata wróciła do domu z potężnym kaczem i wizytówką wsuniętą do etui na telefon. Wahała się, ale po trzech dniach nadeszło przełamanie.

Arek przypomniał jej, że jego ojciec w sobotę ma imieniny.

Długo obracała w palcach skromny biały kartonik. Widniał na nim tylko numer telefonu i nazwisko: W. Faland.

Miarka się przebrała – pomyślała, wsłuchując się w miarowy sygnał oczekiwania na połączenie. *Starsza pani musi zniknąć.*

Renata z tajnego konta wyciągnęła wszystkie oszczędności, które od kilku lat potajemnie odkładała na wymarzoną wycieczkę do Tajlandii, a teraz siedziała tu, z nerwów mnąc chusteczkę w dłoni.

W. Faland był szczupłym mężczyzną w trudnym do określenia wieku, ciemnowłosym, bladym, z twarzy podobnym zgoła do nikogo.

Gabinet miał na siódmym piętrze jednej z podniszczonych kamienic na Szczytnickiej; chyba wynajmował go na godziny. Nie było tam niczego oprócz prostego biurka, podwiedłej paprotki i trzech głębokich foteli. W jednym siedziała Renata, w drugim W. Faland. Trzeci zajmował zdumiewająco stary, czarny pudel.

– Rozumiem naturę pani problemu – powiedział mężczyzna. – Przyjmuję zlecenie. Może pani w spokoju pojechać do teściów.

– Zabije ją pan? Jeśli... – Odchrząknęła. – My mamy dzieci. Jeżeli policja...

– Nie będzie żadnej policji, droga pani. Moja firma zatrudnia wyłącznie profesjonalistów.

Renata bąknęła znad kieliszka, że rozumie.

– Jeśli człowiek ma zniknąć, najważniejsze jest, by racjonalnie zagospodarować tym, co po sobie pozostawi – kontynuował W. Faland.

– To znaczy?

Wykonał dziwny gest palcami prawej dłoni, jak gdyby przetaczał pomiędzy nimi niewidzialną monetę.

– Człowiek wyrwany ze swojego miejsca pozostawia pustkę. Świat nie znosi pustki, stara się natychmiast ją zapełnić. Najważniejsze jest to, by nie wzbudzić podejrzeń. Zaginieni odnajdują się jedynie wtedy, gdy komuś zależy na tym, by ich odnaleźć, i kiedy natrafi on na ślad. Trzeba więc sprawić, by nikomu nie zależało. Pozacierać ślady twarde i miękkie.

– Twarde i...?

– To taki żargon. Człowiek nie znika wraz ze swoją historią, prawda? – Upił łyk koniaku. Pies westchnął ciężko. – Zostają telefony, podpisane umowy, zarejestrowane samochody, mieszkania, akty notarialne, faktury, przedmioty osobiste, rodzinne fotografie. To nazywam śladami twardymi. Z nimi akurat problemu nie ma. Mieszkanie zawsze da się zająć, samochód przerejestrować, a zdjęcie spalić.

– A miękkie? – spytała niepewnie.

Odstawiła kieliszek. Z nerwów nic nie jadła, alkohol chyba za bardzo uderzył jej do głowy. Miała nadzieję, że da radę wrócić samochodem.

W. Faland poderwał głowę z błyskiem w oku. Dziwne miał te oczy, tak jakby jedno... Nie, to złudzenie.

- Wspomnienia. Uczucia. Wspólne przeżycia. Myśli. Takie tam rzeczy.

- I pańska, hm, firma, jest w stanie usunąć takie... ślady miękkie?

- Naturalnie. Proszę jechać na imieniny do teścia. Zapewniam, że wszystko będzie w porządku.

Renata uściśniła mu dłoń na pożegnanie i wyszła.

Z zamyślenia wyrwał ją ostry dzwonek tramwaju. Zamrugała gwałtownie.

Stała przed drzwiami starego antykwariatu przy przystanku Reja w stronę Biskupina. Motorniczy najwidoczniej wziął ją za pasażerkę i po-nagłał, by wsiadła.

Obejrzała się na złotawą kamienicę. Próbowwała znaleźć okna gabinetu W. Falanda, ale nie była pewna, czy patrzy na właściwe. Coś jej nie pasowało. Dopiero po kilku chwilach zorientowała się, co takiego.

Ten dom nie miał siedmiu pięter.

- Reni, coś się dzieje? - spytał Arek, zjeżdżając w tunel przy Galerii. W półmroku zawsze wydawał jej się jeszcze bardziej seksowny, jak tajny agent z filmu sensacyjnego czyhający w ciemnościach na podejrzanego.

- Możemy zawrócić, jeśli źle się czujesz.

- Nie, wszystko w porządku. Po prostu się denerwuję.

Parsknął śmiechem.

- Czym? Przecież nikt cię tam nie zje. Gdyby ciasta były paskudne,

Ola i Janek cię przed nimi uratują. Nie, szkraby?

Dzieci przytaknęły piskliwie. Renata w szoku obejrzała się przez ramię, a potem przeniosła wzrok na męża. Zmarszczyła brwi. Jej rodzina zachowywała się tak, jakby konflikt pomiędzy nią a teściową nigdy nie zaistniał.

Arek niczego nie zauważył, za to Renata poczuła potężny kop adrenaliny, igiełki napięcia wędrujące wzdłuż pleców i nóg.

Nie miała żadnego kontaktu z W. Falandem, odkąd opuściła jego gabinet. Telefon milczał, internet nikogo takiego nie znał. Kamienica na Szczytnickiej faktycznie nie miała siedmiu pięter. Renata byłaby skłonna uwierzyć, że tylko go sobie wymyśliła, ale bolesny brak pieniędzy na Tajlandię utwierdzał ją w przekonaniu, że „coś” zrobić musiała.

Tyle że tym „czymś” zdawało się „wepchnięcie własnych oszczędności do kieszeni oszustów”. Ale przecież Jolka...

Zadrzała, bo właśnie zajeżdżali pod dom teściów. Od razu rzucił się jej w oczy brak samochodu Jadwigi. Odkąd wiedźma zaczęła narzekać na oczy, przestała jeździć, ale odmawiała sprzedaży swojego zadbanego volvo. Krzyżanowscy mieli za mały garaż na dwa samochody, więc teść parkował w środku, twierdząc, że on auta używa, więc woli je w stanie lepszym niż gorszym.

– Reni? – Arek otworzył jej drzwi. – Mam cię odwieźć do domu?
Szczęknęły zawiasy. Drobne krocзки zadźwięczały na schodkach.

– No wreszcie! – zabrzmiał rozanielony głos.

Renata osłupiała.

Kobieta, która zwirowanym podjazdem drobiła w ich kierunku, nie była Jadwigą Krzyżanowską, ale – na litość boską – tak bardzo ją przypominała! Wyglądała na nieco młodszą niż teściowa, mogłaby być jej siostrą. Miała takie same oczy – jasnoniebieskie z drobnymi plamkami złota – ten sam nos – ciut za długi i haczykowaty. Uśmiechała się miło, mimo wieku jej ruchy były przepełnione sprężystą gracją.

– Wchodźcie! – Ponagliła ich gestami. Wydała z siebie sekwencję dziwacznych pisków, obejmując dzieciaki jednym szerokim uściskiem. Ola zarzuciła jej ręce na szyję. – Remek już wstawia wodę na kawę. Zrobiłam paszteciki jagnięce z żurawiną, poezja. O, sałatka!

Renata, wciąż oszołomiona, mechanicznym ruchem podała jej miskę.

– Makaronowa – bąknęła. – Z tuńczykiem.

– Dziękuję ci, kochanie! Wiesz, że ją uwielbiam. No wchodźcie już, co tak będziemy w progu stać! Śliczna sukienka, Renatko.

Ucałowała powietrze przy obu policzkach „synowej”. Nawet pachniała jak Jadwiga, tymi samymi, cholernie drogimi perfumami, ale... jakoś tak świeżo.

Renata na drżących nogach weszła do przedpokoju.

Zaparkowała w niedozwolonym miejscu i, przecinając na ukos plac przed Pasażem Grunwaldzkim, pobiegła na wysokich szpilkach. W dłoni dzierżyła drogi koniak. Nie знаła się na alkoholach, ale znajomy z pracy zaklinał się, że ten będzie odpowiedni.

Zasapała się, nim wbiegła na siódme piętro. Kamienica nie miała windy.

Nie minęła chwila, a już siedziała w jednym z trzech głębokich foteli. Drugi zajmował W. Faland, trzeci – pies.

– Pan jest cudotwórcą! – Renata odetchnęła głęboko. – Proszę, to dla pana.

Uśmiechnął się oszczędnie, ale koniak przyjął.

– Ja... Ja nie wiem, jak... Pojęcia nie mam, jak pan to wszystko zrobił – dodała już spokojniej.

Ostatni tydzień poświęciła na sprawdzanie wszystkiego. W tajemnicy przed Arkiem wzięła urlop i wydała kolejną górę pieniędzy na prywatnego detektywa.

Volvo znalazło się szybciej, niż myślała. Było we Wrocławiu, dokładnie to samo, ze srebrzystą karoserią i lekko wgniecionym prawym błotnikiem. Właściciel dostał piany na pysku, zaklinał się, że nie z kradzieży, że kupiony w salonie, pierwszy właściciel. Papiery były autentyczne.

Teściowa nie używała mediów społecznościowych, ale miała konto w banku, w którym pracowała jej synowa. Renata poszła z winem do koleżanki z odpowiedniego działu.

– Nie ma takiego rachunku – usłyszała w telefonie dwie godziny później. – Podałaś mi dobry numer?

- Tak. Sprawdź w bazie klientów po nazwisku. Jadwiga Krzyżanowska, sześćdziesiąt osiem lat – powiedziała i, prawie podsakując przy swoim biurku, podała adres i numer PESEL teściowej.

- Nie ma nikogo takiego, bejbe.

Nie istniała też żadna stomatolog Jadwiga Krzyżanowska. Renata podjechała pod klinikę, w której stara jędza miała gabinet. Miła dziewczyna z recepcji bardzo chciała jej pomóc, ale niestety przyjmująca tutaj doktor „J. Krzyżanowska” była Justyną, młodą absolwentką stomatologii z Piastów Śląskich, i pracowała tu dopiero trzy lata. Poinformowała Renatę, że jeśli ta chce, może umówić ją na wizytę w najbliższy czwartek.

Nie znano Krzyżanowskiej też w żadnym innym miejscu, w którym kiedyś miewała gabinety. Renata, drżąc z podniecenia, pojechała nawet na Uniwersytet Medyczny i wystarała się o pozwolenie na sięgnięcie do zasobów bibliotecznych, by odnaleźć pracę magisterską teściowej. Kobieta z archiwum nie umiała jej pomóc. Zaaferowana skontaktowała się nawet z koleżanką z dziekanatu stosownego wydziału.

Jadwiga Krzyżanowska nigdy nie ukończyła UMW. W każdym razie nie ta, o którą pytała Renata.

Detektyw twierdził, że podany numer PESEL nie istnieje. Mieszkanie na Grunwaldzie, notarialna własność Jadwigi, wynajmowana studentom chyba tylko po to, by terroryzować kolejnych młodych ludzi, zdaniem obecnie mieszkającej tam lokatorki należało do jakiegoś faceta z Anglii. Dziewczyna dzieliła dwupokojowe mieszkanie z chłopakiem, przyjaciółką i kotem, a o żadnej Jadwidze nie miała pojęcia. Zaproponowała, że poda numer do właściciela.

Renata nie chciała. Chciała śpiewać i tańczyć ze szczęścia. Była wolna!

Cały świat zapomniał o istnieniu Jadwigi.

Nie – cały świat zdawał się nigdy o niej nie wiedzieć!

Renatę najbardziej fascynowała reakcja znajomych i przyjaciół, którzy nie rozumieli, o co ona pyta. Czy kobieta, która mieszka z jej teściem, to jej teściowa? Matka Arkadiusza? Arek patrzył na żonę przez

chwile, a potem dołał jej kawy, mówiąc, że chyba jeszcze się nie obudziła. Wreszcie, skołowana, zapytała dzieci.

- Przecież to baba Jaga – stwierdził ze zdumieniem czteroletni Janek.

- Pan jest cudotwórcą – powtórzyła Renata z przekonaniem, w roztargnieniu głaszcząc śmierdzącego psa.

Mężczyzna uśmiechał się. Milczał.

- Nie rozumiem, jak pan zrobił niektóre rzeczy. Można przepisać umowy, zapłacić ludziom za milczenie, ale moja rodzina... Oni są przekonani, że moją teściową jest tamta podstawiona kobieta.

To był ten element, który frapował ją najbardziej. Skąd on wytrzymał tak doskonałego sobowtóra? I jak go przekonał, by udawał czyjąś żonę, matkę, teściową?

- Jest taka podobna – westchnęła z podziwem. - Ona ma dosłownie identyczne oczy, nos, uśmiech, nawet te cholerne zęby...!

Zamarła w pół gestu. Coś – nagła myśl, uporczywa jak lęk o niewyłączone żelazko – zazgrzytało jej w głowie.

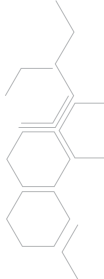
Dokładnie pamiętała, że policja kilka razy prosiła teściową o dokumentację dentylistyczną zaginionych pacjentów. Renata nie знаła się na tym, ale zęby były podobno unikalną cechą człowieka pozwalającą na identyfikację...

- Już to mówiłem, pani Renato. - W. Faland uśmiechnął się zza uniesionego kieliszka. - Jeśli człowiek ma zniknąć, najważniejsze jest, by racjonalnie zagospodarować tym, co po sobie pozostawi.

Wiktor Orłowski

Rocznik 1995, mało pali, prowadzi się idealnie. Zainteresowanie science z zamiłowaniem usiłuje łączyć z fiction. Od niedawna wynik tych starań próbuje pokazać światu, co zaowocowało m.in. drugim miejscem w konkursie „Umieranie to parszywa robota” Fantazmatów (za opowiadanie „Pamiętasz mit o Tanatosie?”) i pierwszym miejscem w konkursie

„Zatruty dźwięk” Magazynu Histeria (za opowiadanie „Inna pieśń”).
Najbardziej lubi: psy, świeże liczi i ludzkie wnętrze.



Starsza pani musi zniknąć



KSIAŻĘ ŁABĘDZI

Zbigniew Bierzyński

Dawno temu, kiedy z dalekich krain nie przybyli jeszcze wysłannicy Chrysta, a ludzie kłaniali się ciałom niebieskim i drzewom, kiedy waleczni bohaterowie ratowali księżniczki z opresji i zabijali smoki, żył pewien młodzieniec – bard Amos. Bogowie nie poskąpili mu urody: wdzięcznej postawy, włosów koloru dojrzałego zboża, błękitnych oczu i twarzy w kształcie migdała. Przede wszystkim jednak obdarowali minstrela pięknym głosem i talentem do lutni.

Bard wędrował po szerokim świecie. Zwiedzał dwory, wielkie i małe miasta, wioski oraz przydrożne karczmy, a gdziekolwiek zawitał, budził pożądanie w duszach niewieścich i zmiękczał serca możnych. Każdy, kto usłyszał śpiew Amosa, pozostawał już do końca swoich dni w jego mocy.

Lecz młodzieniec nie wykorzystywał zdolności do niecznych celów, choć byli tacy, którzy, oczarowani jego głosem i postacią, obiecywali mu władzę oraz wszelkie przywileje. On dobrowolnie z tego rezygnował. Za swój śpiew pragnął tylko gościny, kąta, gdzie mógłby złożyć głowę do snu, i ciepłej strawy. Gdy znudził się otoczeniem, opuszczał gospodarza i ruszał w dalszą drogę. Amos nie łaknął również pięknych kobiet, choć były gotowe oddać mu swe ciała i serca, nie bacząc na gniew ojców czy bogów. Był daleki od wszelkich pragnień. Kochał niezależność do tego stopnia, że słyszano, jak mawiał:

– Nie ma takich łańcuchów ani skarbu, ani ziemi, ani potęgi, które byłyby w stanie odebrać mi wolność! Nawet niebianie nie przekupiliby mnie nektarem nieśmiertelności! Stoję ponad śmiertelnymi i nieśmiertelnymi!

Słowa pychy usłyszał pewnego razu Leśny Dziad włączący się po swoim drzewiastym królestwie, obleczony w mech i liście. obruszył go wielce ton młodzika. Pobiegł więc do swojej pani – Matki Wiosny – i wyszeptał jej do ucha, że istnieje człowiek uważający się za większego niż boskie istoty. Matka Wiosny postanowiła ukarać zbyt pewnego siebie barda. W mgnieniu oka stworzyła na jego drodze kwiaty piękniejsze, niż można sobie wyobrazić. Złote narcyzy i fioletowe szafirki, stokrotki i niezapominajki, aksamitne przebiśniegi i jedwabiste fiołki mieniły się w słońcu niczym najcenniejsze klejnoty na najdelikatniejszej tkaninie. Słodka woń skusiła Amosa do dalekiej podróży, a jej cel znany był tylko bogini.

Szedł więc dzień cały i następny, żywiąc się nektarem i pijając ranną rosę. Wsłuchiwał się samotnie w trele ptaków, bo nigdzie nie napotkał człowieka, z którym mógłby dzielić wędrówkę. Jedynie słońce nad głową i delikatny wiatr szumiący w liściach prastarych buków oraz wyniosłych dębów dotrzymywały mu towarzystwa. Wreszcie trzeciego dnia o świcie ujrzał na horyzoncie pierwsze oznaki ludzkiej bytności – wznoszącą się za niewielkim pagórkim wieżę.

Tuż przed południem stanął nad brzegiem jeziora. Po jego drugiej stronie znajdowała się warowna budowla z kamienia – Strażnica nad Wodą. Wydała mu się dziełem olbrzymów górującym majestatycznie nad całą okolicą. W oddali, na tle ściany ciemnych lasów, majaczyły obsiane zielenią pola i rolnicze osady. Tylko jezioro, mętne i zarastające poszarzałym trzcinowiskiem, jakby nie pasowało do bujnej, soczystej witalności łąk i zagonów.

Amos postanowił pokrzepić się muzyką po trudach wędrówki. Wydobył z sakwy lutnię i uderzył w struny. W jednej chwili ptaki ucichły, drzewa i trzciny porzuciły swoje rozmowy w języku wiatru, tafla ciemnej wody znieruchomiła. Natura wsłuchiwała się w krystalicznie czysty głos młodzieńca.

Bard nie wiedział, że niedaleko w zaroślach skryła się córka możnego ze Strażnicy. Zwabiona zniewalającym zapachem Księżniczka zrywała kwiaty, by przyozdobić zimne komnaty wieży. Gdy tylko usłyszała głos Amosa, wynurzyła się z trzciniowiska i podeszła do minstrela. Młodzieniec spojrział na dziewczynę i zamarł na widok jej pięknych brązowych oczu. Początkowo nie wiedział, jak powinien nazwać to nowe uczucie. Szukał w pamięci podobnego doświadczenia, ale nic nie znalazł. Nagle go olśniło. Nigdy nie zobaczył i był pewien, że nigdy nie zobaczy istoty doskonalszej i piękniejszej.

Czy to sama bogini zstąpiła z niebios? – pytał siebie.

Muzyka ustała. Amos nie był już w stanie przebierać palcami po strunach instrumentu ani wydobyć z gardła choć jednej sylaby. Gdyby mógł, wpatrywałby się w jej oblicze do końca świata, ale Księżniczka przestraszyła się naglej ciszy i uciekła, gubiąc naręcza kaczeńców i niezapominajek.

Amos wiedział, że w jego wnętrzu coś się nieodwracalnie odmieniło. Mimowolnie ruszył w kierunku Strażnicy, dokąd pobiegła piękna dziewczyna.

Okrągła budowla napawała go bojaźnią. Grube mury broniły dostępu do skarbów ukrytych wewnątrz. Ociosane kamienie złączone zaprawą gwarantowały schronienie przed grabieżcami i wrogami. Mimo to bard zapukał w mocne, dębowe wrota. Ze szczytu Strażnicy wyjrzała pomarszczona twarz starca.

– Kto zakłóca spokój Księcia znad Wody?! – usłyszał wyraźny i mocny głos przyzwyczajony do wydawania rozkazów.

– Nazywam się Amos i jestem bardem. – Młodzieniec uklonił się dwornie. – Poszukuję miejsca, gdzie mógłbym spożyć posiłek i odpocząć przed dalszą drogą. Odwdzięczę się słodką muzyką, umilając chwilę.

– Muzykantów tutaj nie karmimy!

– Wielmożny panie – Amos ponownie pokłonił się władcy – pokornie proszę o przyjęcie mnie chociaż na moment. Pragnę odnaleźć swą ukochaną zamieszkującą twoją wieżę, panie.

- A kto jest twoją ukochaną? Na pewno nie znajdziesz jej w moim domu!

- Moją ukochaną jest najpiękniejsza kobieta na świecie, przerażającą urodą boginie. Pani o brązowych oczach.

- Też mi coś! Brązowookich panien ci pod dostatkiem na moim dworze, ale tylko jedna jest najpiękniejsza, moja córka. Nie jest przeznaczona dla wędrownego grajka, pisane jej małżeństwo z bogatym księciem!

Amos zasmucił się wielce. Nie posiadał ogromnego majątku ani armii. Nie dzierżył w dłoni berła ani nie władał mieczem. Miał natomiast lutnię oraz słowiczy głos. Chcąc dotrzeć do ojcowskiego serca, uderzył w struny smukłymi palcami i zanucił najrzewniejszą pieśń, jaka przyszła mu na myśl, ale w odpowiedzi usłyszał wyłącznie rechotliwy śmiech.

- Co to ma znaczyć, minstrelu? - zaskrzeczał Księżę znad Wody.
- Pragniesz mnie zaczarować? Próżne trudy! Nienawidzę muzyki! Mój słuch stał się nieczuły na piękne rymy i melodie. Odejdź stąd albo wyślę mojego syna, by cię przegonił!

Pomarszczona twarz zniknęła, a zropaczony Amos odszedł spod Strażnicy. Ponownie usiadł na brzegu jeziora. Instrument w jego dłoni wydał smętne tony. Wszystko, co żyło, znowu przystało, by wsłuchiwać się w głos młodzieńca. Tylko głuche i nieczułe serce ojca pięknej Księżniczki pozostawało niewzruszone.

Muzyka wywabiła natomiast Arumana - Króla Topielców. Z odmętów wody powoli wynurzyły się najpierw ropusze oczy, chwilę później pojawiła się żabia twarz, wreszcie reszta potężnego płaziego cielska, wyhodowanego na najtłustszych sumach. Oblepiony wodorostami demon jeziora ukazał się w całej okazałości.

- Witaj, piękny chłopcze - przywitał się z zaskoczonym grajkiem.
- Usłyszałem muzykę twojego smutku. Nie ty pierwszy zakochałeś się w Księżniczce. Twój ból jest daremny. Wielu już mężczyzn cierpiało z jej powodu. I wielu znalazło ukojenie w moim podwodnym królestwie - kuśił.

- Jeśli umrę, nigdy jej nie zdobędę. - Amos odmówił propozycji.
- Jestem inni niż moi poprzednicy!

Jak tu nakłonić grajka do śmierci? – dumiał żabi władca, który w skrytości serca, jak przystało na demona, gardził wszystkim, co czyste, i nienawidził wszystkiego, co piękne.

– Mogę ci pomóc! – wpadł na pomysł. – Dysponuję mocą wiążącą wszystkie stworzenia tego jeziora. Oddam ci władzę nad łabędziami. Na ich skrzydłach porwiesz ukochaną – wyszeptał obrzękłymi ustami.

Serce barda drgnęło.

– Możesz to dla mnie zrobić? – spytał z niedowierzaniem.

– Oczywiście.

– Czego pragniesz w zamian?

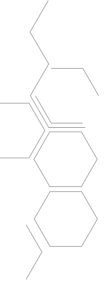
– Niczego wielkiego. – Król Topielców machnął lekceważąco błoniastą dłonią. – Gdy już zdobędziesz Księżniczkę, zaśpiewasz dla mnie jedną piękną piosenkę. – Uśmiechnął się. – Wystarczy, że uściśniesz moją dłoń, a staniesz się Księciem Łabędzi.

Bard, nie zastanawiając się długo, chwycił rękę Arumana. W jednej chwili jego smukłe palce zmieniły się w białe lotki, nogi w łapy z błoną, szyja wydłużyła, skóra pokryła puchem. Amos stracił głos słowika. Był zdolny wydawać z siebie tylko nieskładne gęgnięcia i syki.

Ze szczytu wieży Księżniczka obserwowała młodzieńca, którego głos oczarował jej duszę i zasiał w sercu ziarno miłości. Nie mogła znieść jego przemiany oraz myśli o innych niewinnych mężczyznach w przeszłości zniewolonych jej urodą. Już niejednego rozpacz pchnęła w ręce Arumana. Z rozwianymi włosami rzuciła się do wody, aby raz na zawsze zakończyć cierpienia swoje i tych, co mogli zawitać pod Strażnicą.

Tak oto Matka Wiosny ukarała okrutnie barda. Stracił swoje dawne życie i życie dziewczyny, do której zapałał najczystszym uczuciem zaznanym przez śmiertelników. Amosa nie spętały żadne łańcuchy ani nie uwiodły złote skarby, ziemia czy potęga. Jedynie miłość mogła go zmusić do porzucenia wolności.

Jeszcze długo ludzie opowiadali sobie o Amosie – Księciu Łabędzi – i pięknej Księżniczce ze Strażnicy Nad Wodą. Niektórzy mówili, że Aruman zmusił udręczoną duszę kobiety do małżeństwa. Uczucie Amosa pozostało jednak na tyle silne, że raz w roku na całą noc przełamuje



klątwę metamorfozy i śmierci. Oboje odzyskują dawne postaci i słuchają pieśni z czasów, które dla nas są tylko niewiarygodnymi legendami.

Zbigniew Bierzyński

Urodzony w 1993 roku. Fan Emila Ciorana i Buddy. Ostatnio odkrył prozę św. Teresy z Ávili. Choć wydawać by się mogło, że porzucił fantastykę, by zatonąć w świecie mistycznych widziadeł ascetów i nihilistów, sięga czasami sentymentalnie po Tolkiena. Laureat XIV Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Marii Komornickiej za opowiadanie pt. „Trusia” oraz konkursu literackiego towarzyszącego XV Zamojskim Spotkaniom z Fantastyką za opowiadanie pt. „Dla naszej matki Kościoła!”.

ĆMY

Emilian Sornat

Gorzkie powietrze wypełniało płuca. Duszące, gryzące drobiny krążyły wokół Anvisa, jednak mag za wszelką cenę powstrzymywał się od kaszlu. Wiedział, jak działają zawarte w nich substancje.

– To nie będę ja – rzucił w ciemność oprawioną rojem włochatych skrzydeł. – Nie ja.

Potarłszy krzesiwem o kostur, wypuścił snop migoczących światła. Wreszcie stały płomień rozświetlił bramy miasteczka, a czarodziej skierował blask na pokrytą pyłem tablicę. Upewniał się, że dotarł we właściwe miejsce, choć przejmujący szmer latających naokoło stworzeń wystarczył za dowód.

Ingljerod. Otoczona kopalniami miejscina stanowiła punkt wylotowy z Gór Sentaickich. Każdy transport na zewnątrz doliny musiał minąć tutejszych celników, uzyskując atest jakości i zgodę na przewóz dóbr. Tym razem jednak żaden człowiek nie powitał przybysza.

Ćmy. Światło ognia błyskało w ich ogromnych ślepiach. Szum tysięcy owadów się wzmaczał, od kiedy Anvis zapalił pochodnię na szczycie magicznej laski. Mniejsze motyle co rusz wpadały w zdradziecki płomień, jednak dominujące osobniki tylko łypały na maga z dachów domostw z paszczami ociekającymi krwią.

– Nie ja – powtórzył zawzięcie mężczyzna, strzepując pył z rudych włosów. Włań więcj mocy w zaklęcia ochronne, czym rozświetlił ciemno-czerwone runy na szatach.

Stańął na środku ulicy, gorączkowo przeszukując podręczną torbę. Starął się nie widzieć rozszarpanych zwłok mieszkańców. Miał mało czasu.

– Jestem Anvis Vole, Mag Zgromadzenia, członek Drugiego Kręgu – zadeklamował ochryple. Spojrzał na magiczny indykator. Bładobłękitna łuna instrumentu karmiła go widmem nadziei. – Oferuję transport poza dolinę. Czy ktoś zechce do mnie dołączyć?

Długo nasłuchiwał w bezruchu, bacznie obserwując majaczące w mroku stworzenia. Wiedział, że to nie one same ponosiły odpowiedzialność za zagładę Inglerod. Jak wszyscy padlinożercy z sąsiednich wymiarów, krążyły naokoło prawdziwych drapieźników.

Czar zawarty w urządzeniu nie mógł kłamać. Ktoś musiał przeżyć. Ktokolwiek.

Wreszcie Anvis usłyszał kaszel. Prędko zlokalizował źródło dźwięku. Wyszeptał zaklęcie.

Rzeczywistość zafalowała zmuszona do obrania innej drogi. Drzwi drewnianego domu stanęły w płomieniach, a zaraz potem niewidzialna siła rozdarła je na pół w kontrolowanej eksplozji. Jednocześnie chmary owadów znów wzbiły się w przestworza, formując wir wokół rozszalałego ognia.

– To nie będę ja – powtarzał mag przez zaciśnięte zęby, mijając rozprute trzewia ofiar. Na ułamek sekundy rozświetlił wnętrze izby. Zauważył chłopca skulonego w kącie pośród rozczłonkowanych ciał rodziny.

Uklęknął. Starął się nie okazywać zbyt wielu emocji. Dziecko żyło, choć szok zatopił świadomość głęboko wewnątrz wystraszonego umysłu.

To dobrze – pomyślał Anvis. Gdyby nie to, zostałby zupełnie sam.

– Nie wdychaj pyłu – pouczył podopiecznego, gdy znaleźli się poza płonąca osadą.

Chłopiec przyjął nasączoną nieznanym sobie płynem chustę, po czym obwiązał ją naokoło twarzy. Nie odezwał się jeszcze, jednak rozumiał, czego od niego oczekiwano. Stopniowo wracał do siebie.

– Przez kaszel pył dostaje się do krwioobiegu. A potem zaszczepia w umyśle strach – tłumaczył dalej czarodziej. – One uwielbiają skrajne emocje, dlatego cieszyć się też ci nie wolno.

– One – powtórzyło dziecko.

Požoga trawiła Inglerod, skupiając całą uwagę latających monstrów. Tym razem pojedyncze olbrzymy również wpadały w pułapkę, ich gigantyczne skrzydła wykonywały ostatni lot nad miastem. Rzuciły światło na pokryte krwią ulice.

Pożar miał jednak swoje plusy. Droga na szczyt pozostawała wolna, a plan Anvisa znów nabierał kolorów. Być może istniała jeszcze szansa.

– Jak ci na imię? – spytał mag, wytrącając chłopca z letargu.

– Dal – odparł po chwili ocalały.

– Dobrze, Dal. Pójdziemy w górę zbocza. W pewnym momencie znów zapalę kostur, a całe zło z osady podąży za nami. Chcę tylko, byś trzymał się blisko i nie szukał nikogo wzrokiem. Nie okazuj emocji.

Po tych słowach mag zacisnął dłoń na drzewcu i ruszył kamienistą drogą. Uśmiechnął się pod nosem. Dobrze wiedział, że wygłoszona mowa miała wspomóc raczej jego samego. Dal wciąż nie rozumiał, co wydarzyło się w Inglerod. Tymczasem Anvisa nieprzerwanie gnębiły obrazy ludzi rozszarpanych na strzępy. Ludzi, którzy ośmielili się bać.

Bezwiedzna noc nie pozwalała na dojrzenie przeklętej prawdy. Jedynie wyczulony na przepływ magii umysł Anvisa dostrzegał zarys otchłani. Naukowa nomenklatura nazywała zjawisko Wyrwę, pomostem między wymiarami powstałym na skutek zaburzenia równowagi sfer. Czasem

pojawiała się bez ostrzeżenia jako echo pradawnych magicznych starć, a chaotyczna natura najczęściej kierowała przejście wprost w nicłość. Tym razem jednak po drugiej stronie znalazło się coś, co zainicjowało kontakt.

Ziejąca czeluść pochłaniała otaczający ją pobrzask. Wyrwa znów prowadziła donikąd, jednak stabilne połączenie z wrogim światem trwało zbyt długo. Roje intruzów bezustannie krążyły nad dogasającym Inglerod w poszukiwaniu źródła światła.

Gdy tylko księżyc wskaże im drogę na południe, opuszczą dolinę. A na to Anvis nie mógł pozwolić.

- Już czas - wymamrotał, po czym zaczął krzesać iskry.

Kostur rozżarzył się, a następnie wypuścił w górę nieśmiałe płomień. Niedługo potem dotarły do nich pierwsze ćmy. Ogień wysychał na ich spopielenych skrzydłach.

- Idziemy na szczyt - stwierdził Dal. Jego wyzuty z emocji głos napawał maga przerażeniem.

- Tak. Nie wyjdziemy z Sentai, dopóki nie uporamy się z plagą.

- Wiesz jak?

- Blask jest ich przewodnikiem - rzekł Anvis. - Zamierzam rzucić kostur w Wyrwę, by wróciły tam, skąd przyszły.

Pył opadał ku nim niczym pierwszy śnieg. Wpierw jawił się jako migoczące drobiny, pojedyncze i niewinne, lecz w przeciągu chwili mrowie skrzydlatych stworzeń się rozrosło, grzebiąc okolicę pod warstwami cielistego popiołu.

Dal spoglądał na wybawcę półprzytomnym wzrokiem. Zmęczone, lecz wciąż pełne determinacji spojrzenie, nierówny krok i sztywno zaciśnięta na lasce dłoń mówiły chłopcu, że czarodziej znajdował się na granicy wyczerpania. Być może tylko zaklęcia trzymały go na nogach.

- Tak, powinienem odpocząć - oznajmił mężczyzna, widząc zainteresowanie towarzysza. - Zrobię to, jak tylko dotrzemy na miejsce.

Wtem szum skrzydeł przygaś, zdławiony inną obecnością. Ogień rzucił nieśmiałe światło na spływającą po głazach posokę.

- Nie patrz - polecił Anvis. Jednak sam nie mógł powstrzymać ciekawości.

Czerń wypluła z siebie kontur połamanego poroża. Za zakrętem czekała na nich głowa martwego jelonka, wyrwana brutalną siłą z ciała. Wnętrznosci rozpostarto na gałęziach niby ozdoby, kawałki rozszarpanego mięsa leżały u stóp drzew. Tworzyły harmonię. Pieczołowicie poukładane, jakby twórca zamierzał przekazać wiadomość różnymi kształtami zwierzęcych szczątków skąpanych w ognistej iluminacji.

Oprawca czyhał między konarami. Ledwo widoczny uśmiech skomponowany z długich jak szpilki zębów przebijał się przez ciemność, spowity w ćmi woal. Cekał, aż ktoś zareaguje na przygotowany obraz. Okaże emocje.

– To nie będę ja.

Dziecko mocniej ścisnęło poły płaszcza. Spoglądało w dół, wbijając wzrok w poruszające się wraz z wędrowcami cienie. Mijali spektakl, starając się nie dojrzeć w nim wirtuozerii. Puste oczodoły zwierzęcia opowiadały przecież historię, rozwarły w niemym krzyku pysk miał przekazać ją dalej.

Ostatni raz Anvis spojrział na autora wystawy. Półwidzialny stwór nie atakował, choć uśmiech wydawał się szerszy, nadal zwrócony w stronę publiczności. Zniknął pod całunem motyli, niewzruszony brakiem zainteresowania.

– Nie ja.

Szum płonących skrzydeł ponownie wypełnił umysł, zamykając je w kakofonicznym więzieniu.

Wspinali się coraz wyżej, aż drzewa ustąpiły i przeredzone dały miejsce górskim krzewom. Droga postępowała bliżej urwiska, z którego wreszcie również Dal ujrzał rozdarte poszycie świata. Wyrwa błyskała ciemnością, rozpostarta w dole niczym gigantyczne prześcieradło niebytu.

Nie to jednak przerażało chłopca najbardziej. Odzyskawszy zmysły, zaczął dostrzegać otaczające ich maskary. Zarysy wysokich postaci

i długich szponów majaczyły wokół nich, krążyły tak samo jak ćmy, choć w bezpieczniejszej odległości.

– To obopólna korzyść – głos magą ognia przebijał się przez szelest włochatych skrzydeł. – Ćmy podróżują jako rój, zaszczepiają strach w niewinnych istotach. Podają na tacy ofiary dla tych drugich.

Uśmiechy lewitowały w powietrzu, zawsze widoczne. Blask ognia nie potrafił w pełni uchwycić ich właścicieli, ciemniał wokół, jakby wystraszony. Szpiczaste, długie na łokieć, gęsto osadzone zęby tylko czekały, aż ktoś doceni koszmarną postać. Uzupełni widmową kreację siłą wyobraźni.

– One nie żywią się mięsem, lecz duszą. Ich forma zależy jedynie od naszego uosobienia strachu. Tylko ćmy żerują na wyspanych ludzkich powłokach.

Ogień jaśniał metr nad czarodziejem, przywodząc na myśl chodzącą latarnię. Płonące motyle opadały ku ziemi w żalobnym tańcu, jednak ich miejsce natychmiast zajmowały nowe. Zapas owadów nie topniał.

– To idealna symbioza – dodał Anvis, zstępując ze ścieżki.

Powoli horyzont nawiedzał blask jutrzeńki. Zbyt nikły, by zainteresował intruzów, lecz dzięki niemu Dał zrozumiał skalę kataklizmu.

– Ćmy – szepnął. – Wszędzie ćmy.

Wreszcie znaleźli się na miejscu. Wystająca półka skalna, wisząca bezpośrednio nad Wyrwą, stanowiła doskonały punkt startowy dla zakończenia koszmaru. Anvis natknął się na to miejsce jeszcze przed zmrokiem. Wtedy obmyślił cały plan.

Rój ograniczał wizję. Wiszący nad ludźmi ogień sprawiał, że cienie owadów tworzyły nieustannie ewoluujący labirynt na skałach szczytu. Zwabione aktywnością padlinożerców drapieżniki stopniowo go pokonywały.

Do chłopca zaczynało docierać, czemu przebył całą tę drogę. Przecież nie opowiadano mu o potworach bez celu. Już niemal doszedł do siebie. Powoli zaczynał odczuwać strach.

– One nie są jak ćmy – zrozumiał. – One nie reagują na światło. A to ich chcesz się pozbyć.

Zmęczone oczy Anvisa zwróciły się w stronę ofiary. Chciałyby wyrazić zaskoczenie wobec bystrości Dala, jednak zakłęcia ochronne nie pozwalały nawet na to.

– Przepraszam – rzekł.

Kostur wybuchł żarem w reakcji na czar właściciela. Z przerażającą łatwością przelewał płomienie w miękkie ciało.

Agonalny krzyk wypełnił przestrzeń, ściągając uwagę koszmarów. Echo rozpaczy wwiercało się w wygłodniałe zmysły, ostateczny zwiastun obiecaney ucztę. Duszę zdradzały przecież emocje i choć sam strach nie stanowił najgłośniejszego sygnału, przerażająca bezsilność wobec spełniających się obaw przyćmiewała wszelkie inne.

Ćmy ruszyły za oślepiającym światłem, szarobrązowa chmura w pogoni za zatraceniem. Zaraz po tym prawdziwi łowcy odpowiedzieli na zew kwitnącej agonii. Ruszyli, byle tylko dopaść zdobycz.

A pośród potępieńczego zrywu stał Anvis, obserwując upadek żywej przynęty.

– To nie będę ja – zarzekął się, gdy chłopiec sięgał Wyrwy. – Nie ja – powtarzał odrętwiały z niemocy, otoczony przez pograżone w myśliwskim transie bestie.

Jakaś jego część pragnęła, by zabrały go ze sobą. Przemykały tuż obok niego w masowych ilościach, wszystkie głuche na wewnętrzną rozpacz samotnego człowieka. Spadały w bezdenną czeluść.

Zakłęcia działały tak skutecznie, że mag sam nie wiedział, czy naprawdę coś czuje, czy może to tylko echo jego dawnej moralności. Koszmary potrzebowały emocji, by skoczyć w przepaść. Być może bezwiednie zabrały również jego.

Nastała cisza. Pojedyncze ćmy zostały nad Wyrwą, zagubione lub umierające. Słońce nadal nie wstawało, lecz Anvis widział dym unoszący się nad miastem i krainę pokrytą pyłem. Wreszcie opadł na kolana, pokonany przez zmęczenie.

Tej nocy wszedł na szczyt aż pięć razy. Zawsze zrzucając do Wyrwy przynętę. Zawsze pozbywając się tylko części zagrożenia.

Ono zawsze pozostawało.

Znów dojrzał je między drzewami. Nocne mary wycofujące się w głąb lasu, by kontynuować łowy. Uśmiechały się do niego. Drwiły.

Mógły poświęcić siebie. Zdjąć zaklęcia i skoczyć samemu, odrzucić samolubną chęć życia, jaka trzymała go w garści tak długo. Jednak gdy to zrobi, nie będzie miał gwarancji, że wykonał zadanie. Ocalałe stworzy znów mogłyby urosnąć w siłę.

Wyjął magiczny indykator, po czym skierował igłę w stronę Inglerod. Urządzenie pokryła błękitna łuna wskazująca na obecność życia w ruinach miasta.

– Nie ja – powtórzył, podpierając się na dogasającym kosturze. Uśmiechy towarzyszyły mu cały czas, gdy schodził po kolejną ofiarę. – To nie będę ja.

Emilian Sornat

64

Zapalony światotwórca, główny administrator grupy worldbuildingowej „Jak będzie w conworldzie?”, mistrz gry, tenor, prelegent konwentowy i aspirujący pisarz. Dotychczas zagościł na łamach dziewiątego numeru kwartalnika „Abyssos” i stronie internetowej „Szortalu”. Bogate zainteresowania z dziedziny chemii, materiałów, filozofii i mitologii podsuwają mu pomysły na rozbudowę autorskiego uniwersum fantasy, gdzie umieszcza większość napisanych dzieł.

MODLITWA DO ARCHIMEDESA

Krzysztof Matkowski

Bóg znowu nie odpowiedział, natomiast Archimedes był aż nadto gadatliwy. Mówił o młodych ludziach, o dojeniu krów, o Bieszczadach, o spotkaniu w cztery oczy z wilkiem i o tym, jak wszyscy chowali się w sianie, gdy przechodziła armia. Stanisław zaś milczał, bo od chwili powieszenia Archimedeasa na ścianie nie mógł wydobyć z siebie ani słowa.

Jedną z rzeczy, którymi zadziwiła go samotność, było tempo spożywania posiłków – jesz szybciej, kiedy nie masz z kim rozmawiać. Kiełbasa na gorąco i wczorajsza bułka zniknęły z talerza błyskawicznie, a choć wypełniły żołądek, nie dały poczucia smakowej satysfakcji. Archimedes odbierał nie tylko mowę.

Stanisław odłożył sztucce i siedział jeszcze chwilę przy stole, jakby chciał, by na śniadanie przypadło tyle samo czasu co dawniej. Telewizor szumiał, jednak płynące z niego słowa były niezrozumiałe. Natomiast natarczywego głosu Archimedeasa nie dało się zignorować.

– ...albo jak się jeździło do sąsiednich wiosek, żeby dziewczuchy zapoznawać – mówił ni to wiszący, ni to tonący człowiek z obrazu. – Wtedy to języka w gębie nie szło zapomnieć. Jakich to rzeczy człowiek nie obiecywał! Że wróci, że kocha, że zapamięta. Nie to, co dzisiaj...

Boże, niech on się zamknie – pomyślał starzec. Próbował już wielu rzeczy, by malowidło zamilkło, a kiedy własne pomysły zawiodły, skupił się na błaganiu Boga.

Modlitwa znowu nie została wysłuchana.

Emeryt westchnął, wstał od stołu i zaniósł brudny talerz do zlewu. Odkręcił kurek do oporu, by szum wody choć trochę zagłuszył słowa Archimedesesa. Obraz miał jednak mocny głos, dokładnie taki, jak Stanisław dwadzieścia, trzydzieści lat temu.

– ...mówiło się, co ślina na język przyniesie. Czasem chłopaki tak kłamali, że z uszu im dymiło jak z kominów. Ale czasem który patrzył głęboko w oczy, a dziewczuchom od tej szczerości miękły... Hej, co robisz, staruchu?!

Mimo protestów emeryt zdjął malowidło ze ściany. Wisielec-topielec próbował go przekonać, by przestał. Powtarzali ten rytuał codziennie, od kiedy Stanisław wprowadził się do nowego, ciasnego mieszkania i nieopatrznie zainteresował pustym miejscem na ścianie – niezabrudzonym prostokątem. Wśród rupieci po poprzednim właścicielu znalazł wtedy zawinięty w plastikowe worki obraz.

Dzieło przedstawiało stojącego na wodzie nagiego mężczyznę z pętlą na szyi, postać niezdecydowaną między powieszeniem a utonięciem. Nie był to widok, który chciałoby się oglądać na co dzień. Stanisław postanowił sprzedać znalezisko na targu, ale wpiery sprawdził, czy drewniane ramy pasują do niezabrudzonego prostokąta na ścianie. Pasowały. Staruszek przyglądał się chwilę tej dekadencej – w jego mniemaniu – sztuce, po czym sięgnął, by ją zdjąć. Właśnie wtedy obraz przemówił, dając początek codziennym rytuałom.

– Powieś mnie – zażądał teraz Archimedes, tak samo jak kilka tygodni wcześniej. – Powieś mnie z powrotem.

Tym razem Stanisław nie odpowiedziałby, nawet gdyby mógł. Zaniósł malowidło do przedpokoju, wcisnął w głąb szafy i nakrył kilkoma płaszczami. Gdy wracał do pokoju, odprowadzały go stłumione złorzeczenia.

Usiadł przed telewizorem i utkwił wzrok w ekranie. Widział, że kolory i kształty się zmieniają, słyszał, jak głosy mówią, lecz nic z tego nie rozumiał. Mógł jeszcze wziąć książkę lub gazetę – rozpoznałby litery i słowa, jednak nie dotarłby do niego ich sens. Wszystko przez Archimedesa, przez ten przekłęty obraz.

Po chwili Stanisław poszedł umyć protezy zębowe. Następnie wziął leki, zmierzył ciśnienie i zajął się ścieraniem kurzu. W starym domu było tyle do zrobienia, że najczęściej nie robił nic, natomiast w nowym, ciasnym mieszkaniu – którego domem nie nazywał – potrafił się ze wszystkim uporać tak szybko, że już o jedenastej wracał przed telewizor. Czasem myślał, że starość to przede wszystkim rytuały, zwyczaje i nawyki, które pewnego dnia po prostu ustają. Od takich rozważań oderwał go teraz głos Archimedesa:

– Masz ostatnią szansę, żeby mnie stąd wyciągnąć!

Starzec słyszał tę groźbę wielokrotnie i wiedział, że tamten nie żartuje. Mimo to nie ruszył się z miejsca. Obraz zaczął mówić: o rzeczach, o których nikt, oprócz Stanisława, nie mógł wiedzieć; o sprawach, które wypadałoby ukryć w szafie, a następnie ją spalić; o ludziach, którym powinno się w końcu odpowiedzieć. W pewnym momencie emeryt nie wytrzymał. Zerwał się na nogi i otworzył usta do krzyku, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. To sprawiło, że cały gniew uleciał.

Po chwili Archimedes wisiał na swoim miejscu. Gadał od rzeczy. Stanisław zaczął szykować się do wyjścia.

– Cześć, tato – powiedział Jacek.

Stanisław skinął synowi głową i utkwił wzrok gdzieś za oknem kawiarni. Tydzień temu w tym samym miejscu i w tym samym czasie uśmiechał się szeroko, jednak tym razem jego ulubiona wnuczka, Zosia, nie przyszła. Brak tej wesołej, wiercącej się na schorowanych kolanach dziadka istotki mógł oznaczać tylko jedno – Jacek chciał poważnie porozmawiać.

- Jak się dzisiaj czujesz?

Staruszek kiwnął głową, że dobrze. Syn zadał to pytanie tylko po to, by mieć pretekst do stracenia nerwów i przejścia do rzeczy.

- Słuchaj, co to ma znaczyć z tym milczeniem? To jakiś bunt?

Od kiedy Stanisławowi odebrało mowę, Jacek odzywał się coraz śmielej:

- Też jest mi ciężko, wiesz? Nie tylko ty kogoś straciłeś.

Odpowiedziało mu jedynie spojrzenie, z którego nie potrafił nic wyczytać.

- To przez nowe mieszkanie? - dopytywał. - Jak ci się nie podoba, możemy zmienić.

Emeryt pokręcił głową. Potem wskazał na usta i wzruszył ramionami, by dać do zrozumienia, że naprawdę nie może mówić. Syn wyjął z kieszeni marynarki długopis, sięgnął po serwetkę i podsunął ojcu. Stanisław nie chciał nawet spróbować. Po utracie mowy kilkakrotnie podchodził do pisania listu, ale to, co wychodziło spod jego ręki, nie było literami. Archimedes okradł go ze wszystkich słów.

- O co ci chodzi? - dociekał poirytowany Jacek. - Czego ode mnie, od nas oczekujesz? Czego chcesz?

Staruszek nie odpowiedział. Syn westchnął.

- Niestety, do lekarzy specjalistów są kilkumiesięczne kolejki. Ale ty pewnie z lekarzem też nie będziesz chciał rozmawiać, prawda? Chcesz w ogóle z kimkolwiek rozmawiać? Ze mną chyba nie.

Stanisław spuścił głowę. Mógłby dać znak, że chce, ale jak miałby wytłumaczyć, dlaczego nie może, dlaczego nie potrafi?

Czasem chciał zabrać Jacka i postawić go przed Archimedesem. Obraz pozbawiłby mężczyznę zdolności mówienia, tak jak pozbawiał jedzenie smaku, telewizję sensu, a zwierzęta i rośliny - chęci do życia. Wtedy obaj, ojciec i syn, mogliby beczynn timer w oczekiwaniu na nie-wiadomo-co i na wiadomo-co. A Archimedes przemawiałby ich wspólnym głosem. Mówiłby o młodszych ludziach, o samochodach, o małym śląskim miasteczku, o rozmowach przez telefon i o tym, jak nie mogli się

wyspać przez kilka miesięcy po narodzinach Zosi. Stanisław zastanawiał się: we dwóch byłoby im ciężiej czy lżej?

– Nie to nie – powiedział Jacek. – Nie będę tu siedział bez słowa i patrzył na starego człowieka z wiecznym grymasem na twarzy. – Wstał i już miał odejść, kiedy nasza go jeszcze jedna refleksja. – Wiesz co, tato? Może to nieładnie, że tak po paru minutach odchodzę. Ale zanim sobie coś pomyślisz, popatrz w lustro i zapytaj sam siebie, czy chciałbyś z kimś takim rozmawiać.

Gdybym tylko mógł mówić – pomyślał Stanisław – nie zadałbym żadnego pytania.

Dotychczas Stanisław wmawiał sobie, że nie spalił Archimedes, by nie uwolnić ukrytego w obrazie demona. W głębi duszy traktował go jako karę za grzechy – karę, której odbycie zapewni mu zbawienie. A wysłuchiwanie niekończącego się monologu przez ostatnie tygodnie lub miesiące życia mogło uchronić go przed wiecznym cierpieniem w Piekle.

Poza tym gadające malowidło miało też swoją zaletę – odzywało się do staruszka częściej niż rodzina. Gdyby wyrzucił je na śmietnik z powodu natarczywości, co powinien zrobić ze zdystansowanymi bliskimi?

Jednak tego dnia coś się w Stanisławie zmieniło. A przecież rytuał przebiegał jak zawsze. Przebudzenie koło piątej. Modlitwa, by koszmar mówiącego obrazu się skończył. Rozczarowanie. Posiłek, gniew, higiena, akceptacja, spacer, zakupy, posiłek, gniew, higiena, wybaczenie, posiłek, znużenie, higiena, modlitwa, zwątpienie, sen. W soboty dochodziły jeszcze spotkania z rodziną, a w niedziele – z Bogiem.

Tym razem nie zdenerwował się po obiedzie. Wsłuchał się w słowa Archimedes, co więcej – spojrzął na niego. Tamten nie był zbyt ruchliwy, jakby jedno fałszywe drgnięcie mogło sprawić, że straci cudowną możliwość stania na wodzie i albo się powiesi, albo utonie. Tylko jego usta się poruszały. Stanisław pamiętał, jak stało się to po raz pierwszy. Namalowany człowiek kazał spojrzeć na tytuł na odwrocie, a potem dodał:

- Tak masz mnie nazywać.

Archimedes. Niedorzeczność tego imienia przekonała starszuszka, że to nie halucynacje, że obraz naprawdę jest zaczarowany. Emeryt mgliście kojarzył, że tak samo nazywał się jakiś grecki uczoney. Więcej informacji uzyskał dopiero w miejskiej bibliotece. Książki, które nie dostały się pod klątwę malowidła, były dla niego zrozumiałe, jednak niemłody wzrok i tak szybko się męczył.

Stanisław pod koniec życia rozumiał, że to, co w pewien sposób zawsze wiedział, jest opisane prawem owego Archimedes: „na ciało zanurzone w płynie działa skierowana do góry siła, która jest równa wartości ciężaru płynu wypartego przez to ciało”. Innymi słowy: im większy człowiek wskoczy do wody, tym bardziej ochlapie wszystkich dookoła.

Albo: im większy ciężar doświadczeń zebrałeś, tym mocniej wpłynęłaś na świat.

Stanisław stanął przed obrazem. Ten chwilę gderał, potem umilkł na kilka sekund, aż w końcu zapytał:

- Co ty knujesz?

Starzec nie odpowiedział. Sam zachodził w głowę, co się z nim dzieje. Sięgał wstecz, do drobnych wydarzeń tego dnia, ale nic nie wybiłało się ponad normalność. A coś przecież musiało. W tym wieku człowiekiem nie kierują impulsy. Są tylko rytuały, zwyczaje, nawyki, a potem... potem tego nie ma.

- Czemu mnie nie zdejmiesz jak zawsze? - dociekał Archimedes.
- Jeśli myślisz o pozbyciu się mnie, lepiej wybij to sobie z głowy. Chyba nie chcesz być na wieki potępiony?

Starzec nie odpowiedział. Wspominał słowa z dzisiejszego dnia: te, które padły, i te niewypowiedziane. Wspominał puste kolana, na których w minione soboty siedziała wnuczka. Wspominał wizję siebie i syna, obu milczących. I wiedział już, że chce, by im obu było lżej.

- Zdaję sobie sprawę, że nie możesz mówić, ale daj mi jakiś znak - zirytował się obraz, a Stanisław odniósł wrażenie, że do głosu dochodzi prawdziwa natura niesamowitego przedmiotu.

Nie odpowiedział.

Uklęknął. I wciąż milcząc, mówił tak, jak mówi się do Boga.

Bóg może by odpowiedział, ale uprzedził go Archimedes, wysłuchując modlitwy Stanisława.

– Dziękuję – powiedział staruszek, po czym szybko, jakby miał zaraz stracić szansę, dodał: – Ty cholerny draniu.

Od razu poczuł się lepiej.

Obraz nie odpowiedział. Nagi mężczyzna wciąż ni to wisiał, ni to tonął. Wiecznie niezdecydowany. Stanisław chwycił za drewniane ramy i zdjął malowidło. Wpakował je do worka na śmieci, a następnie wcisnął w głąb szafy. Żaden głos nie protestował. Starzec mamrotał pod nosem, by nacieszyć się brzmieniem wypowiedzianych przez siebie słów. Nie rozumiał, co się przed chwilą wydarzyło – choć na pewno rytualny ciąg dnia został zakłócony.

Kilka minut później był w drodze do syna. Wysiadł z autobusu dwie przecznice od domu, z którym łączyło go wiele wspomnień, głównie związanych z opiekowaniem się Zosią.

Rodzinę zastał w ogródku, gdzie robili grilla.

– Dzień dobry – powiedział uprzejmie, podchodząc do stołu.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

– Zmówiliście się przeciwko mnie, tak?

Jacek obracał mięso nad żarem, jego żona nalewała mrożoną herbatę do szklanek, a Zosia wspinała się na drzewo.

– Tak czy inaczej... przepraszam. To nie moja wina, że się nie odzywałem. Chciałem wam powiedzieć, a szczególnie tobie, Jacku...

Wyrzucił z siebie wszystko, co powinien. Jeszcze nigdy słowa z jego ust nie płynęły tak łatwo. A z każdym kolejnym zdaniem czuł, jak robi mu się coraz lżej na duszy. Przypomniał sobie dziewczuchy z sąsiednich wiosek, o których rano mówił Archimedes – w końcu obraz opierał się na skradzionych wspomnieniach. I teraz Stanisław zapewniał też rodzinę: że zapamięta, że kocha, że wróci.

Nie odpowiedzieli.

Jacek nałożył mięso, synowa zawołała Zosię, wszyscy troje zasiedli do stołu. Miejsca dla dziadka nie było. Stanisław tkwił tam chwilę, niewidzialny i niesłyszalny. Prawda o śmierci docierała do niego powoli, lecz on nie chciał jej przyjąć. W końcu drgnął i ruszył do domu syna. Musiał sprawdzić jedną rzecz.

Po chwili stanął przed lustrem. Widział wychudzonego, pomarszczonego człowieka. Dostrzegł grymas, który trwał tak długo, że wrył się już w rysy twarzy. Przypomniał sobie własną myśl: gdyby mógł mówić, nie zadałby żadnego pytania. Zatem, co by powiedział?

– Mnie będzie ciężko, ale im będzie lżej.

Odbicie nie odpowiedziało, nawet nie poruszyło ustami. Utkwiło w Stanisławie pusty, martwy wzrok.

– Albo na odwrót – dodał, po czym się odwrócił.

Kiedy odchodził, targały nim ciężkość i lekkość, a on tkwił pomiędzy, wiecznie niezdecydowany jak Archimedes z obrazu: ni to wisząc, ni to tonąc, ni to unosząc się, ni to opadając.

Krzysztof Matkowski

Student medycyny, autor z portalu Nowa Fantastyka. Dotychczas publikował w antologii „Sny umarłych” i e-zinach. Polskę zwiedza na rowerze, Europę autostopem. Wciąż nie powiedział babci, że pisze opowiadania.

KOMAR I SITO

Alicja Tempłowicz

Wiecie, po prostu istnieją tacy ludzie, którzy noszą w sobie historie. Są nimi brzemieni, opuchnięci i obrzmiali jak w przenoszonych ciążach. Mijasz takiego na ulicy i coś cię strzela, jakaś niewidzialna ręka. Bezceremonialnie, po tyle łąba, jak pierwszego lepszego gnojka wypalającego dziewiczego papierosa w bramie. Stajesz i nie masz pojęcia, co ze sobą zrobić – czy lepiej uciekać, czy gonić za płodem opowieści, jej refleks w spojrzeniu, odbiciem w nieświadomym grymasie.

Ale są też inni ludzie – ludzie cierpiący na niedobory, ludzie-czarne dziury albo raczej ludzie-sita przepuszczający przez siebie piaski historii.

Krzysiek należy do tej drugiej kategorii. Ile razy rozmawiamy, mam wrażenie, że przez jego oczy oglądam ścianę za nim. Zresztą rozmawiamy rzadko, bo on zawsze ma coś do zrobienia.

Długo szukałam klucza do jego duszy, ale w końcu doszłam do wniosku, że nie ma ani klucza, ani zamka, ani nawet duszy, tylko to przekłute sito. Gdybym chociaż była kamieniem wystarczająco dużym, żeby zatrzymać się na okach. Ale nie. Przelatuję przez nie, przelatuję przez puste, pozbawione opowieści źrenice i rozbijam się jak komar na tej pie-przonej ścianie za nim.

Może ja jestem komarem i tylko Krzysiek mnie jeszcze nie rozsmarował kapciem, bo ciągle ma coś ważniejszego do roboty. A to w warsztacie, a to na strychu, a to znowu w warsztacie. Gdyby nie był taki przeźroczysty, pomyślałabym, że ma kochankę, ale w tej sytuacji stawiam raczej na postępujący pracoholizm i ucieczkoholizm.

Czasem, gdy mi się nudzi, wymyślam ją sobie – tę kochankę. I ona jest właśnie taka nabrzmiała, chodzi z ciężowym brzuchem. Ludzie gratulują jej i pytają, czy będzie miała dziecko z Krzysiem, a ona odpowiada, że nie, że będzie miała z nim historię. Wtedy patrzą na nią oburzeni, plują jej pod nogi i mówią, że wstydu nie ma.

Nie wiem, jak powinna mieć na imię. Może Zofia, żeby mogła chodzić w kwiecistych sukienkach, bo Zofie tak mi się kojarzą. I kapelusz. Musi być kapelusz. Przesadzona szminka, trochę rozmazana w lewym kącie ust.

– Chcesz kawę? – pytam ściany za oczami Krzyśka.

– Nie – odpowiada pustka przed nią. – Zaraz idę do warsztatu.

Stoję przed lustrem i przebieram się za Zofię. Mam sukienkę, kapelusz, a z braku szminki – korale.

Tak między nami, Zofia wygląda jak wsiurna baba z jarmarku. Ma paskudne, krzywe nogi, których nie goliła od tygodnia, bo nie ma po co. I wcale nie jest taka młoda.

Historia, która ją nadyma, jest nieznośna. Bolą od niej stawy. Gdyby Zofia była komarem tak jak ja, po jej rozkwaszeniu na ścianie zostałby ślad wielkości dłoni, taka jest pełna. To, co ją wypełnia, to opowieść o oszczepnicze Łucji, która nienawidzi swego imienia i w ogóle sportu. Marzy o tym, żeby jakaś kontuzja przekreśliła jej karierę. Łucja nienawidzi też swoich ramion, tych wszystkich mięśni, przez które głupio czuje się w kobiecych ciuchach i nago. Nienawidzi tabletek z hormonami i spóźniającego się okresu, a także gumy owocowej.

Zofia nosi Łucję pod prawym łokciem i Łucja niekiedy ciąży jej tak, że Zofia myśli o odcięciu sobie ręki.

Zdejmuję kapelusz i znów jestem komarem, tyle że w kiecce i koralach, ale wtedy moją uwagę zwraca refleks na końcu oszczepu. Łucja rozpędza się, dyszy, rzuca nim i upada twarzą w piasek rozbiegu. Nikt – poza Zofią – nie wie, co się stało.

Zofia nie ma ręki. Krew kapie na podłogę i kwiecistą sukienkę. Jej dłoń ciągle trzyma kapelusz, ale ona sama nie trzyma już dłoni. Przez dziurę w ciele wycieka nadmiar opowieści.

Leżę i patrzę w sufit. Pachnie strychem i wiem, że jesteśmy na strychu.

- Zrób mnie dużą – mówię do Krzyśka.
- Słucham? – pyta głupio, jakby nie dosłyszał.
- Zrób mnie dużą – powtarzam więc. – Chcę się zatrzymywać na sicie.

Niczym mnie nie znieczulił, ale ponieważ jestem martwa, nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Czekam cierpliwie, aż wszystko znajdzie się na swoim miejscu – każda śruba, każdy kawałek drutu, każde złącze i zbiornik na historie.

- Wszystko będzie dobrze – mówi do mnie ściana. – Coś ci wyciekło z kanistra do głowy.

- Zofia – mówię ja do pustki przed ścianą.
- Kim jest Zofia?
- Wymyśliłam ją.
- Nie powinnaś wymyślać.
- Wymyśliłam ją dla ciebie. Była pełna. Macie razem historię. Krzysiek dokręca kolejne śrubki i nie mówi już niczego.

- Napisz o Łucji – podsuwam, kiedy siedzimy razem na ganku w ponury, deszczowy dzień i woda z oberwanej rynny leje nam się na głowy. – Łucja jest oszczepniczką i pewnego dnia...

- Nie chcę być pisarzem – przerywa mi Krzysiek.

- To po co nas naprawiasz? – dziwię się.

- Bo ojciec mi kazał.

Ojciec Krzysia był wielkim pisarzem. Mieliśmy wtedy dobrze. Zbieraliśmy historie do pojemników, a on opróżniał je regularnie, dbał o naszą higienę, a nie tylko o śruby, druty i złącza.

- Łucja jest oszczepniczką – zaczynam znów, chcąc wyrzucić z siebie to, co Krzysiek przyszył mi wraz z ramieniem Zofii. – Pewnego dnia spełnia się jej największe marzenie. Okazuje się, że ma wadę serca i nie może uprawiać sportu.

- Proszę, zamilcz.

- Ale kiedy to się okazuje, ona jest już martwa, bo ta wada ją zabiła. Miała tam dziurę.

Krzysiek patrzy na mnie, a deszczówka kapie mu z twarzy.

- Po co mi to mówisz? – pyta.

- Bo to historia, a ty jesteś pisarzem.

Jęczy żałośnie, wstaje i idzie do warsztatu.

Spełnił moją prośbę, uczynił mnie dużym kamieniem i zatrzymałam się na sicie. Nie jestem już komarem, nie mam komarzego ciała, wątych skrzydeł i niegolonych od tygodnia, cienkich jak druty nóg.

W efekcie Zofia stoi przed lustrem. Ma na sobie kwiecistą sukienkę, kapelusz i korale, a na ramieniu wieniec z chirurgicznej nici. Pod kolanem rośnie jej kolejny pasożyt, boleśnie podważa rzepkę i Zofia zastanawia się, czy będzie musiała uciąć nogę, tak jak ucięła Łucję, żeby ją zabić.

Pasożyt ma na imię Krzysztof i jest niespełnionym pisarzem, który nigdy niczego nie napisze, bo jego ojciec napisał już wszystko i zostawił go z niedoborem historii.

Alicja Tempłowicz

Naznaczony rocznik 1989, właściciel portalu dla piszących Literka.info. Przecinkolog z wykształcenia i powołania. Poznaniara pełną gębą, choć obecnie w stałym związku z Wrocławiem. Publikowała w trzech tomach „Fantazji Zielonogórskich”, w antologiach z cyklu „Ścieżki wyobraźni”, pierwszym tomie „Fantazmatów”, parokrotnie na Szortalu i w „Magazynie Histeria”. Wykonała też kilka ilustracji - tu i ówdzie. Na usługach projektów fanowskich w charakterze różnym i podłużnym. Autorka artykułów zahaczających tematyką o językoznawstwo diachroniczne, demonologię ludową i wierzenia słowiańskie (nie mylić z „mitologią”). Filker, wielbicielka akwareli, tuszu i kawy w kilku wydaniach - w tym jako materiału malarskiego. Po światłowodach biega jako Kruffachi.

MUERTE BLANCA

Magdalena Świerczek-Gryboś

Viva el socialismo.

Miasto, w którym mieszkał Mear, było życiem i śmiercią. Splecione w długi warkocz wspólnego losu nie walczyły ze sobą, lecz wykonywały znany od tysięcy lat intymny taniec. Światło nadchodziło w południe, wypełniało Ognik na wieży i karmiło mieszkańców aż do zmierzchu, kiedy mrok rozciągał swe lepkie sieci po ulicach. Mear umarł i narodził się tu dopiero sto razy, ale już kochał Muerte Blanca, metropolię blasku i cienia.

Nad miastem górowały dwa postrzępione szczyty, pochylone ku sobie jak stare figowce. Ostre granie otaczały świat Meara z każdej strony niczym strażnicy. Promieni wpadających do doliny, gdy słońce stało w zenicie, nie starczało, by muertianom udało się, na wzór przodków z pieśni, wznieść ku niebu. Według legend co pewien czas rozpalony Ognik słał w firmament snop światła, a niebiosy otwierały się i pochłaniały mieszkańców miasta. Jednak Mear jeszcze o tym nie marzył.

Ze świątynnej wieży spłynął na kamienne budynki dźwięk potężnego dzwonu. *Chico* natychmiast porzucił pracę w ogrodzie i pomknął ku centralnemu placowi. Z podnieceniem i niecierpliwością dołączył do tłumu czarno-białych, głodnych mieszkańców. Ich ciała, złożone ze światła i ciemności, jeszcze nosiły na sobie ślady po wczorajszej uczcie; kobieta

o alabastrowej twarzy miała czerwoną *boca*, zdziwaczały starzec odział się w powłóczystą, fioletową *capa*, a gromadka oślepiająco jasnych dzieci wzbijała nad głowy tłumu szmacianą *pelota* w kolorach tęczy.

Mear parł przed siebie i z gorączkową determinacją przeciskał się pomiędzy dorosłymi. Tym razem miał zamiar dotrzeć pod sam Ognik. Gdy jego stopy dotknęły szklanej posadzki placu, nadal pełnej iskier, poczuł radość: fale *muertian* dopiero wlewały się w nieckę, a choć każda pragnęła dosięgnąć strzelistej iglicy pośrodku, żadna tam jeszcze nie dotarła. Podjęcie pracy w pobliskim ogrodzie cesarskim się opłaciło. *Chico* wlepił wzrok w złoty płaszcz cesarza i pobiegł przed siebie najszybciej, jak potrafił, ledwie muskając stopami chłodne szkło. Władca stał na niewielkim balkonie wieży Oka Słońca, z rozpostartymi rękoma wzywając wszelki światłocien w pobliże Ognika. Morze *muertian* wzbierało i gęstniało, ale rozpędzony Mear zdołał dotrzeć tuż pod cesarską mównicę.

Si! Por fin!

Chico wzniosł roześmianą twarz i zobaczył, jak gorące ramiona słońca spływają coraz niżej, wrywając z cienia jedną ze ścian góry Cola; jeszcze chwila, a pulsujący Ognik zbierze codzienny plon, zasilając miasto gwiezdą mocą.

– La Muerte Blanca to światło! – zaśpiewał cesarz, a jego głęboki głos wibrował w przestrzeni i wdarł się w wyschnięte, spragnione ciała. – La Muerte Blanca to świt! Czerwona jest nasza śmierć w świetle południa!

Mieszkańcy zaczęli zgodnie kołysać się w rytm inkantacji, a plac wypełnił chropowaty dźwięk dzwonów skrytych w szarej kolumnadzie wokół placu. Mear wirował wśród masy światłocieni z odchyloną głową i wzrokiem wbitym w Ognik, którego wreszcie dosięgnęło słońce. Miasto zalała czerwona poświata wydobywająca się z kryształu tkwiącego na szczycie Oka Słońca. Coraz intensywniejszy kolor zahipnotyzował mieszkańców, a błyskawicznie podnosząca się temperatura sprawiła, że powietrze zgęstniało od rozkoszy.

Mear kochał karmazynową, gwałtowną śmierć, choć nie umiał jeszcze powiedzieć, czy wielbi ją bardziej od czarnych narodzin. Zatonął w objęciach współbraci, gwiezdą światła i płomieniu Ognika

przeszywającym jego ciało. Cały cień, jakim *chico* w połowie był, został pożarty niby jagnię, które padło ofiarą lwa. Mear umierał w samo południe, a pośmiertne barwy wykwitwały na jego skórze.

Wyprawa słońca dobiegła końca. Szczyt wieńczący górę Colmillo, przypominający rozwartą paszczę bestii, wgrzył się w oślepiającą tarczę i ją pożarł. Muerte Blanca było martwe. Mieszkańcy czym prędzej podnieśli swe puste powłoki i pobiegli do domowych pracowni, by wrywać z nich kolorowe pasma i tkąć nimi płótna, a na tych malować obrazy.

Mear wpadł do nowo przydzielonego mu pokoju – przeniósł się na wyższe piętro, skończywszy sto dni – niecierpliwie usadowił ciało na krześle i spojrzał na swoją tkaninę. Opiekunowie mu tego nie mówili, ale wiedział, że pośmiertne barwy i powstające z nich wzory zdradzają jego niezwykłość. Wszyscy z grupy malowali *sus padres*, jakiś nieusuwalny cień po przodkach, który tracił siłę oddziaływania na muertianina dopiero około tysięcznego dnia. Nie padał jednak na prace Meara i nie chciał poprzez nie przemawiać. Niektóre dzieci tkwały słońce lub Ognik, obdarzone błogosławieństwem czerwieni, ale i to nie wyłaniało się spod palców małego ogrodnika. On rozrywał swoje posiniaczone ciało na wizerunki *la luna*, które niezmiennie widział w wyobraźni niby przez taflę wody. Nie wiedział, skąd wzięła się w nim ta wizja. Jak każdy muertianin nie potrafił zanurzyć się w lodowatym jeziorze pod Colmillo, by obejrzeć świat spod powierzchni. Dorośli wciąż jednak próbowali pokonać zwierciadło wody, czego Mear nie pojmował. Ani myślał trwonić czas, w którym mógł tkąć obrazy z własnej śmierci, pełne ciemnego błękitu, granatu, białego *luz de la luna* i złotych kropli maleńkich gwiazd.

Muerte Blanca było życiem i śmiercią. Gdy zaczynało zmierzchać, mieszkańcy miasta porzucali pracę przy płótnach, bo czerni znów wdzierała się w stęsknione ciała i odpędzała natchnienie. Po zapadnięciu ciemności muertianie wyłaniali się z domów – poszarpani, migoczący jeszcze od twórczego wysiłku – i zasiadali w altanach czy na werandach, by prezentować swoje prace i rozmawiać. Noc zabierała jednak kolory, w białym świetle bijącym z mieszkańców nie chciała kąpać się żadna barwa, a wzory na tkaninach zlewały się w mdłą szarość. Opowiadano więc

sobie o najpiękniejszych kolorach: sławiono łagodną żółć i intensywną czerwień, głęboki fiolet oraz niejednolity brąz. Chwila wytchnienia, rozmowy rodziła się, szybko przemijała i umierała gdzieś pomiędzy młodością nocy a jej zmierzchem. W powietrzu unosił się zapach rozgrzanego kamienia i fascynacja gamą żywych barw, którą odkrywała śmierć.

– Zobacz, Ivet. – Mear powiesił swoją tkaninę na murku otaczającym spękaną werandę ich dziecięcego domu. – Nie byłem jeszcze świadkiem pełni, ale tak widzę w sobie lunę. I szare plamy na niej. Ukrytą twarz.

Chica z zachwytem przyjrzała się obliczu rzadkiego na ich skrawku nieba nocnego gościa.

– Masz dar, Mear. Twoje prace nawet bez świętych barw są żywe. Musisz uważać, bo dorośli nie lubią, kiedy tkanin nie trzeba opowiadać kolorami Ognika. Chyba boją się ich braku... Spójrz na moje słońce. – Wskazała swoją pracę, na której widniał jedynie olbrzymi okrąg. – Nic nie widać. Użyłam mnóstwa czerwieni i żółci.

– Ognik daje ci dużo czerwieni – pochwalił ją Mear. – Błogosławi cię. Możesz pokazywać to wszystkim. – Porównał obie tkaniny i spo-chmurniał. – A ja?

– Nie zaczynaj. Dzięki tobie możemy dzisiaj dłużej pobyc razem. Nie marnujemy czasu na kłótnie.

Spojrzeni na grupę czterystudniowych, którzy często gonili Meara, nazywając go odmieńcem i grożąc połamaniem palców. Ale dzięki wstawiennictwu opiekuna udało mu się już zdobyć pracę w cesarskim ogrodzie i teraz nauczyciele musieli baczniej go pilnować, czym gasili zapał prześladowców. Wcześniej, jak wszystkie małe dzieci, Mear asystował drążącym góry i zbierał piach.

– Słyszałam od siedemsetdniowego, że nasze tkaniny mają „zapisywać i powielać, bo nic nie może zniknąć i nic nie jest zapomniane”. Powiedział, że „światy są utkane ze śmierci, choć kwitną na kroplach życia”. Nic z tego nie zrozumiałam – przyznała Ivet.

– Pewnie to jeden z tych, co wdychają terpentynę – skwitował Mear. – Mój opiekun mówi, że ci prawie dorośli często są „na haju”.

– Twój opiekun dużo ci mówi. Mój jest mało rozmowny.

- Może zadajesz za dużo pytań. To ich denerwuje. Ja układam jedno pytanie z kilku i zadaję je rzadko. Opiekun chętniej odpowiada.

- Spróbuję!

Gwar dzieci nikł i narastał w różnych miejscach splekanej werandy. Mear czuł na sobie roziskrzzone spojrzenia i wiedział, że najmniejsze szkraby niedługo nabiorą odwagi, by podejść i zacząć zamęczać go pytaniami o nowe zajęcie.

- Nie mam dziś ochoty na rozmowy. Co ty na to, żeby iść na plac?

Ivet zgodziła się ochoczo, więc zwinęli tkaniny, oddali opiekunom i ruszyli przez nagrzane ulice, po których spacerowali nieliczni dogasający muertianie. *Chico* y *chica* czuli, że także w nich kończy się białe światło, choć jako dzieci promienieli znacznie mocniej niż dorośli, a ich mrok był mniej gęsty. Mear już z daleka dostrzegł poświatę poniżej rozpalonego, czerwonego Ognika. Nocą kolor nosiło tylko to, co wchłonęło blask gwiazdy. Pod szkłem placu, w którym przeglądało się Oko, wezbrała teraz pomarańczowa esencja słońca. Rzuciła blask na okoliczne budynki i wdzieriała się w czarne plamy okien. Stanowiła energię zapasową na wypadek niepogody, dlatego upychano ją pod miastem w dziewiczych kryształach gór.

Ivet uwielbiała bursztynowe odcienie i zawsze tańczyła nad świeżymi złożami. Wirowała na szklanym parkiecie, nierzadko lekko unosząc się ponad jego powierzchnię. Mear lubił patrzeć na przyjaciółkę, w której żyła czerwień śmierci, tak jak lubił włóczyć się po sennych ulicach tuż przed *el nacimiento*. Niestety czas mijał tym szybciej, im bardziej *chico* zachwycał się chwilą. Odgłos gongu spłynął na miasto i odbił się echem od domostw. A gdy dźwięk przebrzmiał, w aksamitną ciszę wpęzła czerń narodzin, rozlała się po Muerte Blanca i oblepiła mieszkańców. Zachłanny mrok wysłał z nich białą jasność. Zgasił na krótko świadomość i pogrążył w chłodnej nicości, a po chwili świat wyrwał muertian z zachłannych marek nieistnienia, bez choćby najmniejszego skrawka światła.

Miasto, zamknięte pomiędzy złaknionymi siebie górami, rozdarły krzyki noworodków. Wzniosły się pod rozmigotane, nieskończenie odległe *cielo* i przeminięły nieusłyszone przez nikogo.

- La Muerte Blanca to ciemność - rozległ się szept w uszach mieszkańców. - La Muerte Blanca to zmierzch. Zaprzędana jest śmierć Tkaczy, odradzających się o północy.

Mear wpełził jak *gusano* pomiędzy kolumny wokół placu, potem na czworaka zaczął sunąć do bramy ogrodów, by następnie niepewnie postawić pierwsze kroki pomiędzy skarbami cesarza. W nieprzeniknionej ciemności nie potrafił rozpoznać kwarcytów, opali, malachitów i heliodorów, lecz czuł w każdym z nich nieruchomego, ciepłego ducha. Schodzili się inni pracownicy, powłóczęg nogami i odnajdując przydzielone im kamienie. Mear zasiadł przy swoim małym aleksandrycie, przycisnął usta do jego powierzchni i zaczął szeptem szukać w sobie pierwszych załączków światła, najbardziej pożywnych dla młodych sadzonek. Spragniony *piedra preciosa* czerpał z iskierki i sprawiał, że rozpałały się o wiele szybciej, niż gdy *chico* przebierał szary piach pod granią góry. Czuł się jak ojciec dla ducha, który kwitł w mineralu, rozpierał twarde ciało od środka i powodował jego rozrost. Nie wiadomo, kiedy świt zaczął wślizgiwać się do ogrodów, a Mear mógł oglądać intensywne barwy kamieni sąsiadów i fascynującą przezroczystość własnego. Dzień wstępował w Muerte Blanca, a narodzeni pielęgowali i karmili *el mundo*.

Alejandro stękał, machając łopatką. Bolał go nadwyrężony bark. Gabriel spoglądał na rząd mogił, który się pojawił, gdy chorował w domu.

- Ktoś ciekawy?

Alejandro wbił szpadel w ziemię, oparł się na drewnianym trzonie i spojrzął na siedziby nowych lokatorów.

- Dziewczyna. Piękna. Zadżgana i porozrywana. Jakiś miłośnik flaków. I jej młodszy brat obok. Utopiony w stawie.

Gabriel się wzdrygnął.

- A, to wiem. Słyszałem. Aż się zimno w środku dnia robi. Oby odnaleźli spokój. - Spojrzął w błękitne niebo. - A ty widziałeś, jakie czerwone słońce wstało na drugi dzień?

- Ja to o wschodzie spałem – odparł Alejandro, wracając do pracy.
- Ale w nocy jakoś gwiazdy bardziej migotały... I gęba miesiąca ruszała się, jakby ożył.

- Boś gorzały pochłał – skwitował Gabriel i poszedł do szopy po drugą łopatę.

Alejandro wzruszył ramionami. Przez chwilę patrzył na mogiły rodzeństwa, rozmasowując bark.

- Przynajmniej nigdy nie będą musieli pracować – mruknął.

Magdalena Świerczek-Gryboś

Urodzona w 1990 roku. Podwójny licencjat, podwójny magister i doktorantka filozofii. Na konferencjach naukowych mówi tylko o fantastyce. Współtworzy portal fantastyka.pl jako Naz. Sporadycznie publikuje artykuły publicystyczne („Nowa Fantastyka”, „Smokopolitan”) i naukowe. Nagradzana w konkursach poetyckich (m.in. nagroda pierwszego stopnia Turnieju Jednego Wiersza O Laur Jubilata 2009, wygrana w konkursie Stella Polaris 2014) oraz prozatorskich (m.in. drugie miejsce w konkursie Świetlne Pióro 2014, publikacja w antologii na dziesięciolecie „Creatio Fantastica”). Czekają na swój pełnoprawny debiut w wydawnictwie SQN, publikowała opowiadania w „NF”, „Fantomie”, „GW”. Odpowiedzialna za konkurs „Jestem legendą”. Nałogowo uprawia urbex, lecz w weltschmerz okładami z kotów oraz strofuje męża, żeby oddał pada.

GRANICA ROCHE'A

Anna Maria Wybraniec

Faza preliminalna

Doktorant Malinowski skręcił z wyasfaltowanej szosy na polną drogę, dość dobrą dla furmanek i traktorów, ale nie dla zmęczonego życiem forda. Następnie zjechał na bok i zgasił silnik.

– Wysiadać. Dalej pójdziemy pieszo – oznajmił studentom, wskazując drzewa w oddali.

Był lipcowy poniedziałek, zboże rozłociło pola, żar powietrza powoli okrywał wszystko senną ciszą. Ula mrużyła oczy. Żałowała, że nie wzięła ze sobą kapelusza. Malinowski perorował z ożywieniem:

– Te badania terenowe nie są tylko ćwiczeniami, które trzeba odbębnić w ramach studiów. Rozmawiacie z ludźmi o ludziach i to, co zapiszecie, zostanie utrwalone jako ich obraz. Nie pozwólcie, by został zniekształcony.

Zeszli z drogi, obok przejechał jeep, wzbijając tumany kurzu. Maja zakaszała. Malinowski otarł czoło, poprawił stary kapelusz. Mówił, że to pamiątka po dziadku, choć pewnie liczył na miano Indiany Jonesa polskiej antropologii.

*

– O, kapliczka – rzuciła Ula, kiedy dotarli do pierwszych drzew.

- Można by nawet powiedzieć, że na rozstajach – dodał Bartek, wskazując wydeptaną ścieżkę prowadzącą w głąb lasu.

- Ładnie ustrojona. – Dziewczyna podeszła bliżej. – Dużo obrazków i nawet świece się pałą. I jest jakiś święty, którego chyba nie znam. Czy on ma rogi?

- Zostaw świętych i kapliczki na później – mruknęła Maja. – Możemy w wiosce dopytać, kto to, jak cię to dręczy.

- Nie dręczy – odparła Ula beztrąsko. – Ciekawi. Wiesz, że istnieje bezpośrednie powiązanie między ludowymi przedstawieniami świętych a słowiańskimi bóstwami...

- Litości! Jestem na wakacjach!

- To nie są wakacje! To są praktyki terenowe – syknął Malinowski.
- Nawet jeśli nie robimy tu pogłębionych, kilkudniowych wywiadów, to i tak są to badania naukowe.

- No, tak, tak.

Ula rozejrzała się dookoła. Słońce rozświetliło niebo i pola, ale las był ciemny od cieni. Weszli między drzewa i ciszę, kolumny pni podtrzymały sklepienie z witraży prześwietlonych liści. Zamiast echa Ula słyszała szepc. Szmer? Nie mógł to być wiatr, ale też nie widziała strumyka.

Kiedy dotarli na skraj wioski, spomiędzy drzew wyskoczyły dzieci i ze śmiechem pobiegły w stronę murowanych domów. Sołtys wyszedł gościom na spotkanie. Powitał ich serdecznie.

- Janek mówił, że widział was po drodze. Chodźcie, mam dla was skromny poczęstunek.

Przy kawie, herbacie, makowcu i serniku opowiadał o staraniach o dofinansowanie budowy porządnej drogi dojazdowej.

- No, wyglądacie, jakbyście myśleli, że my tu nadal w kurnych chatkach mieszkamy. A myśmy już wszystko ładnie porobili, tylko szeptucha woli w drewnie...

Studenci nadstawili uszu, Malinowski skorzystał z okazji, by przypomnieć o celu ich wizyty.

- Pamiętam, wywiady chcecie porobić. Ciągle ktoś chce z nami rozmawiać, jakbyśmy z innej Polski byli. O medycynie ludowej, pokazać,

że to poważne, tak? A my też do miasta, do doktora jeździmy. – Sołtys dumał przez chwilę. – No, mam tu paru, co zawsze chętnie udzielą takiego wywiadu. Chodźcie za mną.

Na drodze znowu spotkali rozchichotane dzieci. Sołtys zawołał jednego z wyrostków.

– Piotrek, matka w domu? Zaprowadź jej studenta do rozmowy.

– Studentkę – powiedział beztrząsco Malinowski i klepnął Ulę w ramię.

Dziewczyna poszła za podskakującym chłopcem. Co chwilę odwracał się zaciekawiony, ale nic nie powiedział. Po chwili stanęła w sieni zadbanego domu. Mama Piotrka powitała ją ciepło. Z początku gospodynię krępował dyktafon; dziewczyna słuchała o mleku z czosnkiem i stawianiu baniek, ale wkrótce kobieta zaczęła opowiadać o mniej przyziemnych metodach leczenia.

– No bo jak się opowie, to magia znika. Dlatego nikt nie może widzieć, kiedy się odczynia uroki. A ludzie robią różne głupstwa. Ostatnio ktoś zaczął wykopywać dołki dookoła mojego domu, musiałam się poradzić, jak je najlepiej zakopać, by żadne lichy nie przyszło do mnie. Wie pani, ja w to nie wierzę, ale niech inni wierzą bardziej, niż ja nie wierzę, i co wtedy? Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek. No ale zrobiłam porządek, odczynałam dołki, ludzie to w takie brednie wierzą, że aż szkoda gadać.

Ula potakiwała z powagą. Po kilku godzinach rozmowy zdołała wydobyć z gospodyni stare zaklęcia, szeptania i zamawiania. Kobieta mówiła cicho, szybko, trochę na wdechu i zakrywała dłonią szklanę, by szepty nie wpadły do wody. Patrzyła na cienie w kątach i żegnała się ukradkiem.

– Ale te wszystkie to już stare są, zużyte. Na nic się wam nie przydadzą. Ani talentu, ani wiedzy to ja nie mam – powiedziała na koniec głośno, jakby się przed kimś usprawiedliwiała.

Ula spojrzała za siebie, ale w pokoju były tylko one. I cienie. Musiało już być późno.

O znachorce gospodyni nie chciała rozmawiać.

- No, jest jedna tu w wiosce, ale my tam wolimy jechać do Rudki, tam stara Anna Bondruk to jest coś, święta kobieta. Na wszystko doradzi. Ale ta nasza szeptucha, to ech. - Machnęła ręką. - Trochę szalona jest. Zjedz jeszcze kawałek ciasta, taka chudziutka jesteś. Jak chłopiec.

**

Rozmowy trwały krócej, niż wydawało się Uli. Wioskę opuścili późnym popołudniem. Objedzeni, senni i zmęczeni zatrzymali się przy kapliczce.

- To tam powinna mieszkać szeptucha, nie? - zapytał cicho Bartek. - Idziemy sprawdzić?

- No, trzeba by... - Malinowski westchnął ciężko. - Może umówimy się z nią na jutro - dodał z nadzieją.

Dziewczyny zachichotały.

- Mało to pedagogiczne - stwierdził Bartek.

- Jesteście za starzy na pedagogikę. Chodźmy.

Ścieżka prowadziła na polanę, na której postawiono drewniany budynek. Nie przypominał tych ze skansenów, wyglądał raczej jak domek letniskowy. Po ścianach piął się bluszcz.

Ula mogłaby tu zamieszkać.

Drzwi uchyliły się zachęcająco. Dziewczyna już chciała iść w ich stronę, kiedy na progu stanęła przygarbiona kobieta. Mamrotała, usiłując skupić na nich rozbiegane spojrzenie. W końcu wybuchnęła stekiem przekleństw. Splunęła na trawę, wymierzyła drżący palec w stronę Malinowskiego i za-skrzeczwała:

- Oszust.

Wskazała Bartka.

- Oszust.

I Maję.

- Oszustka.

Kiedy spostrzegła Ulę, sękaty palec zadrgał jak różdżka nad żyłą wodną.

- Ty się nadasz. Jesteś czysty, nie krwawisz. Przyjdź jutro, dziecinko, to ci wszystko pokażę – powiedziała stanowczo i nie czekając na ich reakcję, zniknęła w domu. Trzasnęła drzwiami.

Na polance zapadła cisza.

- Widać, czemu nie mieszka z innymi – sarknął Bartek.

- Taki ktoś jest swój i jest obcy jednocześnie, modelowy mediator. Jest na granicy, więc nie może mieszkać w wiosce. Ale masz rację, nieprzyjemna baba.

- Może coś w tym jest... – powiedziała cicho Maja, podchodząc bliżej Uli. – Bo skąd by wiedziała, że nie jesteście...

Las pociemniał, drzewa szumiały jak morze przed burzą i Ula widziała w kapliczce światło latarni morskiej. „Może coś w tym jest...” wisiało nad nimi, kiedy szli do auta, i pojechało wraz z nimi do małego pensjonatu. Właścicielka długo wpatrywała się w zdjęcia, dokumenty i twarze, coś jej widać nie pasowało, ale w końcu machnęła ręką.

- Pójdiesz? – Malinowski spytał potem, kiedy zebrali się wszyscy w jego pokoju, jakby to było pytanie retoryczne. On by przecież poszedł.

Ula nie miała powodu, by odmówić.

Maja szeptem przypomniała jej o lekarstwach.

Faza liminalna

Tak jak dzień wcześniej, zostawili auto przy drodze, przeszli między rozświetlonymi polami i stanęli przed kapliczką. Po chwili niezręcznej ciszy Malinowski, Bartek i Maja skierowali się do wioski, a Ula poszła w stronę domu na polanie. Szeptucha czekała na nią niecierpliwie. Podała dziewczynie płócienny worek i kazała iść za sobą.

Kiedy skończyli wywiady, pod kapliczką czekali na Ulę.

- Nikt nie traktuje poważnie tutejszej znachorki. Zwykle najpierw ludzie pytają o pomoc blisko, wiecie, wiedza kolektywna, rodzina, sąsiedzi, miejscowa szeptucha, dopiero potem chodzi się daleko. Tu od razu idą do tamtej babki – podsumował obserwacje Malinowski.

- Ktoś mówił, że nie chodzą tu, bo szeptucha chce już umrzeć – zauważyła Maja.

- Nie chcą jej przeszkadzać? Czasy inne? Dziś byli jakoś mniej chętni do rozmowy... - wtrącił Bartek.

- Jutro pojedziemy do Rudki i zobaczymy. Może to nic takiego. Wiecie, w wierzeniach ludowych każdy obcy to trochę czarownik. Potencjalne niebezpieczeństwo.

Długo czekali, zanim Ula pojawiła się na ścieżce. Wracała zmęczona, z żalobą za paznokciami i żywicą na skórze.

- Cały dzień szeptucha pokazywała mi zioła w lesie. Co do czego służy, co kiedy zrywać, jaki chabaż leczy żabę, a jaki wściekliznę. Chce, żebym jutro znowu przyszedł, przyszła, to opowie mi o modlitwach i świętych. Zaraz chyba umrę z głodu. Cały dzień o wodzie!

- Ja to chyba ze dwa kilo przytyłam, ale teraz to nie wiem, czy oni nas tak ugościli z dobroci serca, czy po to, żebyśmy na nich żadnego uroku nie rzucili. - Maja zachichotała.

- A dowiedzieliście się czegoś ciekawego? Zostajemy tu?

- Jesteśmy już po wywiadach, ale skoro tak przypadłaś znachorce do gustu, to może cię tu jutro zostawimy? My pojedziemy do wsi obok - zaproponował Malinowski.

- No nie wiem... Niby stara się być dla mnie miła...

W aucie Malinowski opowiadał dalej:

- Na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku nie chciano wysłać dziewcząt na prace sezonowe do Niemiec, bo bano się, że nauczą się tam czarować. Żołnierzy po powrocie ze służby też traktowano inaczej. W końcu kto wie, czego się nauczyli po drodze.

- Ale my też jesteśmy w obcych stronach, prawda? Dla nas też może to być niebezpieczne. Kto wie, czego nauczymy się po drodze... - powiedziała sennie Ula.

Po powrocie od razu poszła spać, nie czekając nawet na kolację.

Przy śniadaniu więcej mówiła, niż jadła:

- Bo to ma sporo sensu. Stosowano krwawnik na skaleczenie, majeranek na wzdęcia, miód na wzmocnienie i dziurawiec na nerwy. Przecież to wszystko nie mógł być tylko ślepy traf, sprawdzający się od przypadku do przypadku.

- Wie też, jak wywołać okres - szeptała w aucie Mai - choć mówiła raczej o poronieniu. Ale może jest coś jeszcze, może mogłaby pomóc i mnie...

- Tylko nie odstawiaj hormonów przez te ziółka, co?

- Wiem, wiem.

Kilkanaście minut później Malinowski wysadził ją przy polnej drodze.

- Sołtys wie, że tu jesteś. Wszystko będzie dobrze. Do zobaczenia! Ula została sama.

Szumiało zboże, szumiały drzewa. Dziewczyna doszła do kapliczki, spojrzała na rogatego świętego, westchnęła ciężko i skręciła w stronę lasu.

Szeptucha opowiadała, do kogo kierować modlitwy o wyzdrowienie z jakiej choroby. Siedziały w chacie, pod jedną ze ścian stał ołtarzyk: gromnica, krzyże, różańce, zatrzesienie obrazków.

- Też będziesz dostawał. Zmieniaj co jakiś czas obrazki w kapliczce. Z Ziemi Świętej, z pielgrzymek przywożę. Lubię widzieć, jak się modłę, wtedy myślę, że uzdrawianie pochodzi od Boga.

- A pochodzi? - podchwyciła Ula.

- Pochodzi stamtąd, skąd myślę, że pochodzi. Ważne, że pomaga.

Masz, dziecko, napij się wody.

- Dlaczego pani to robi?

- Dla siebie, dziecko, dla siebie - odpowiedziała i powróciła do opowieści o wszystkich świętych.

Kiedy Ula wracała, w cieniach widziała zastępy świętych diabłów. Kłaniali jej się w pas.

- Głodna? - zapytał Malinowski, kiedy dopłynęła do auta.

- Nie, dziś nie. Śpiąca. Zmęczona. Za dużo informacji naraz, głowa mi pęka. A ten obrazek z rogami to Mojżesz jest. W Biblii był błąd w tłumaczeniu i wyszło, że z góry Synaj zszedł z przykazaniami i świetlistymi rogami.

W nocy Ula odbierała hołdy od cienistych świętych, a świetliste rogi pięły się w górę słowo za słowem, kropla za kroplą, szepł za szepłtem.

Czwartego dnia Ula miała siedzieć w kącie i obserwować. Ludzie przychodzili, szeptali, znachorka przeszeptywała ich słowa w wodę, błyszcząły jak brokat, kiedy przelewała je w butelkę, kazała zabrać, schować na święte nigdy; paliła len i dawała chleb z cukrem, pajęczyną i makiem.

Kiedy wysłała Ulę do studni, dziewczyna napelniła wiadro i zapatrzyła się w wodę. Na dnie mieszały się jasne smugi i tańczące cienie, jakby nigdy nie rozdzielono światła od ciemności, ziemi od nieba, kobiety od mężczyzny.

Szeptucha leczyła wiatr, przestrach, różę, kołtun i złe oko. Złe ucho. Zły szept.

– Jakie zakłęcie pani szepcze? – pytała dziewczyna.

Piła zimną wodę, wraz z nią światło i cienie. Musiała być zmęczona, bo kręciło się jej w głowie.

– Powiem, tylko poczekaj trochę – odpowiadała szeptucha. – Muszę je przecież przekazać przed śmiercią.

Wracając, słuchała szeptu drzew, a święte diabły umykały spod jej stóp.

Przy kapliczce czekał na nią chłopiec z wioski. Przestraszony, jakby Ula zarażała obcością, jakby inność osiadła na niej niczym pyłek ze skrzydeł ćmy.

– Niech pani uważa! Mama mówi, że trochę pana... pani szkoda.

– Dlaczego?

– Szeptucha musi przekazać sekret, bo inaczej nie może umrzeć.

A ta jest stara! Strasznie stara!

Ula się zaśmiała, choć może to tylko zabulgotała woda. Albo zaszeptiała?

Dzieciak pobiegł w stronę domu, Ula popłynęła w stronę drogi. Zboże rozstąpiło się przed nią jak Morze Czerwone, a ona szła rogata jak Mojżesz.

Maja prosiła, żeby Ula coś zjadła, ale woda przepełniała jej żołądek i wylewała się pod skórę. Podczas kolacji grzebała niemrawo widelcem w talerzu, aż w końcu zapytała Malinowskiego, czy musi.

– Jeść?

– Nie, chodzić tam dalej.

– Musieć nie musisz, ale szkoda by było. Rzadko kiedy mamy okazję dostać takie wiadomości z pierwszej ręki. Coś się stało?

Ula opowiedziała o chłopcu. Nie mówiła o szepczącej wodzie i świętych cieniach rogiatych światłem.

– Wciąż bardziej obca tu, niczym duch! – zanucił kpiąco Bartek.

– Chyba nie sądzisz, że szkoli cię na następczynię?

– Ula, bierzesz lekarstwa?

Cienie miały zęby i rogi, na których spoczywały złociste aureole. Syczały na nią gniewnie.

Piątego dnia szeptucha wyglądała staro i krucho, jak uschnięta roślina.

Ula wsłuchiwała się w jej szept.

– Wierzą we wszystko, bo wszystko jest lepsze niż bierne czekanie. Wiedza nie zostawia miejsca na cuda, no, a ty, dziecinko, z tą książkową wiedzą, co możesz? Nic nie możesz. Przyszedłeś do mnie po wyleczenie, ale nie pomogę ci stać się kobietą. Lekarze też nie pomogą. Nikt inny ci nie pomoże. Trzeba mieć miejsce, gdzie się nie należy, a wioska nie może zostać bez szeptuchy. Ktoś musi szeptać, bo to boży dar i nie można mu odmówić. Masz, pij.

Woda szemrała w ustach, ale nie chciała spłynąć do gardła, zamiast tego wzbierała, była w nosie, oczach, uszach.

– Chodź, dziecino, ja ci pomogę – zaszeptała znachorka, zaszeptała woda. Słowa topiły się w ciele, osiadały na kościach jak muł na dnie jeziora. Ula zamknęła oczy.

Faza postliminalna

Obudziła się, gdy ktoś potrząsnął ją za ramię.

- Ula? Ula!

Widziała zmartwionego Malinowskiego, bladą Maję, sołtysa i kobietę ze wsi, słyszała głosy, dużo głosów, nie była tylko pewna, które z nich słyszy naprawdę.

Kurwa, teraz mnie wywalą z roboty. I po doktoracie. Co się stało?

Szeptucha leżała obok. Cicha. Szczęśliwa. Martwa.

Straciła przytomność, ale chyba nic jej nie jest.

Cienie rozświetlały pokój, tańczyły, jakby była pod wodą. Gęste i mokre powietrze stawiało opór, kiedy chciała wstać.

Szkoda jej, ale szeptać musi ktoś obcy...

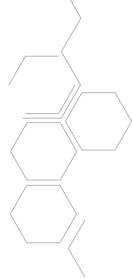
Wszyscy Święci Cienie! Cie! Nie! Nie! Nie!

Jak dobrze, już nie będziemy musieli chodzić do Rudki. Trzeba było jej wcześniej kogoś podsunąć.

Szept wzbierał w niej jak krzyk.

Anna Maria Wybraniec

Autorka opowiadań, pochodzi ze Śląska. Publikowała w „Białym Kruku”, „Kontencie”, „Wizjach” oraz w antologii polskiej weird fiction „Sny Umarłych”.



JUŻ WKRÓTCE
— **TOM 2.0** —

